№ 11. Warszawa, dnia 25 Stycznia / 6 Lutego 1872 roku. Rok I.—Tom I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

NIEWIASTY W XIV WIEKU.

USTĘP Z DZIEJÓW ŚREDNIOWIECZNYCH,

przez **Wł. Chomętowskiego.**

I.

Charakterystyczną cechą drugiéj połowy XIII i pierwszéj XIV wieku są społeczne walki: monarchów i miast z duchownymi i świeckimi możnowładcami, jako też rycerstwa z mieszczaństwem.

Około 1255 roku przeszło sześćdziesiąt miast z trzema duchownymi elektorami na czele, zawiązuje ligę reńską przeciwko napadom szlachty. Rycerstwo wiąże się przeciwko miastom w konfederacye, pod godłem S. Wilhelma, S. Jerzego, Lwa i Pantery; nakoniec około 1370 roku miasta szwabskie i nadreńskie konfederują się przeciwko książętom.

Wśród tego ogólnego starcia różnorodnych interesów i namiętności, ukazują się kommunistyczne i religijne sekty, nakoniec występuje w szrankach walki lud wiejski, który korzystając z anarchii i nieobecności panów, usiłuje zrzucić gniotące go jarzmo.

Unoszone falą burzliwych wypadków, w wojnach, a nawet w ruchach społecznych i religijnych, pośrednio lub bezpośrednio biorą udział niewiasty.



Dolina Niewiaży pod Czerwonym Dworem.

Skoro w 1305 roku, brat Dulcino z Nowarry ogłosiwszy naukę o wspólności majątków i żon, wystąpił w góry na czele kilkutysiącznego tłumu, widziano w jego szeregach nader liczny zastęp niewiast. Dulcino przyodziany w kapicę mniszą, prawił nauki i odprawiał nabożeństwo, które kończyło się gaszeniem świec i okrzykiem mistrza: rośnijcie i mnóżcie się!

Zginął na stosie Dulcino razem z towarzyszką Małgorzatą 1308 r. Ale wytępiona we Włoszech sekta ukazała się później w Niemczech, Czechach, Morawii, nakoniec w Polsce około 1318 roku.

W ślad za tymi powstają we Włoszech nowi sekciarze, zwani Beginami i Fratrycellami. Mienili się oni być jedynymi naśladowcami Chrystusa i apostołów, zatém występowali przeciwko zakonom, mianowicie przeciw regule ś. Franciszka. W nędznéj odzieży, zakapturzeni worami, łudzili lud pozorami dobrowolnego ubóztwa i zamiłowania w nabożném kontemplacyjném życiu. Opowiadano dziwy o ich mniemanéj świętości i ostréj pokucie, jakoż gorliwych znajdowali obrońców nietylko w świeckim, ale i w duchownym stanie. Najwięcéj współczucia okazywały im niewiasty, uwiedzione powabem nowości lub religijną egzaltacyą. Same nakoniec założyły stowarzyszenie Beginek, z których jedne głosiły przepowiednie i cudowne widzenia, inne odłączały się od siostr swych i przystawały do braci sekciarzy.

Jak Dulciniści tak Begini i Fratrycelle, w pielgrzymce swéj z południa na północ, oparli się aż o Polskę w 1327 roku. Surowe rozporządzenia króla Władysława Łokietka położyły w samych początkach tamę szerzeniu się sekty.

W lat dwadzieścia pięć po wytępieniu Fratrycellów, ukazują się biczownicy. Po raz pierwszy przed laty stu powstała ta sekta we Włoszech i przywędrowała aż do Polski. Teraz postępowała w przeciwnym kierunku z północy na południe. Jak w pierwszym tak w drugim razie wśród klęsk ogólnych zawiązało się rzeczone stowarzyszenie. Około 1349 roku, straszna morowa zaraza dziesiątkowała ludność niektórych prowincyj i krajów. Założyciel sekty pod hasłem cudownego listu, który niby otrzymał z nieba, wzywał lud do skruchy i ostréj pokuty. Tłumy płci obojga ludzi zbiegały się pod jego chorągwią. Postępowali processyonalnie, biczując srodze obnażone plecy. U każdego z nich wisiał za pasem pęk rózg żelaznych. Ubiór ich był czarny z czerwonym krzyżem z przodu i z tyłu, tudzież na czapce. Przyjmowano ich gościnnie; dawano im pieniądze na świece i krucyfiksy. Przybyli najprzód ze Szwecyi do Polski, zkąd powędrowali przez Niemcy w dwóch kierunkach, ku Niderlandom i ku Francyi.

Tymczasem we Francyi długoletnią trapionéj wojną, przygotowywało się ludowe powstanie. Dzięki przechowanym wspomnieniom w owoczesnych kronikach, w wojnach tych i zamieszkach uwydatniają się niektóre niewieście postacie. W pierwszéj części niniejszéj pracy postaramy się o zestawienie na tle obcych dziejów wybitniejszych rysów niewiast z XIV wieku.

Okoliczność uwięzienia przez Anglików króla francuzkiego Jana pod Poitiers, sprzyjała rozwinięciu się społecznéj walki, którą poprzedziły gwałty zbrojnych rabusiów 1357 roku.

Przebiegali oni kraje w różnych kierunkach. Najgłówniejszym z przywódców był Regnault de Ceruole zwany arcypasterzem. Ten zrabowawszy liczne zamki i miasta przybył z kolei do Awinionu, gdzie przebywał papież Innocenty VI. Przerażeni kardynałowie weszli z przywódcą w układy. Według świadectwa Froissart'a, podejmowano go z tak wielkiemi honorami, jak gdyby był synem francuzkiego króla. Regnault ucztował po kilkakrotnie w gronie kardynałów, przed pożegnaniem zmusił ich do udzielenia mu dyspensy z grzechów i zapłacenia czterdziestu tysięcy talarów, dla rozdania pomiędzy towarzyszów broni.

W związku z rzeczonemi zamieszaniami, jest powstanie chłopów we Francyi, zapisane w kronikach pod 1358 rokiem, a połączone z najstraszniejszą swawolą. Przywódcą obrany był Wilhelm Callet, którego zwano Jacques Bonhomme. Wiele zamków zrównano z ziemią. Mnóztwo żon i córek rycerzy stało się ofiarą gwałtów. Zdarzało się, że niewiasty w obronie czci własnéj chwytały za broń i bohaterski dawały opór. Między innemi podają nam dzieje wypadek następujący: księżna Normandyi żona regenta i księżna Aureliańska schroniły się wraz z trzystu damami do miasta Meaux. Atoli nadciągnęły w krótce za niemi liczne zastępy uzbrojonych powstańców. Strwożeni mieszczanie roztworzyli natychmiast bramy. Wszakże niewiasty przy współudziale niewielu mężczyzn, okopały się na rynku i do rozpaczliwéj przygotowywały walki. Otoczyli ich przybyli w liczbie kilku tysięcy powstańcy i z szaloną zawziętością przypuścili szturm do niewieściéj twierdzy. Opanowano okopy i druzgotano już ostatnie barykady, gdy niespodziewanie Opatrzność zesłała obrońców. Dwaj rycerze hrabia de Foix i anglik Captal de Buch, dowiedziawszy się o niebezpieczném położeniu niewiast, znajdujących się w Meaux, pośpieszyli tamże na czele sześćdziesięciu innych rycerzy i nie zbyt licznego pocztu giermków i sług. Owoż w chwili gdy wyczerpały już panie ostatnie środki rozpaczliwéj obrony, rycerze ci napadli znienacka i rozproszyli okalających ich napastników.

Każdy wiek ma swoich bohaterów i swe bohaterki. W pierwszéj połowie XIII wieku widzimy na tronach plejadę świętych niewiast, przyświecających życiem pełném poświęceń i abnegacyi, wśród swobodnych i zdrożnych obyczajów współczesnego im świata. Nie ograniczono się tam na praktykach religijnych. Owszem prześcigano się w podnoszeniu zakładów dobroczynnych, w niesieniu pomocy biednym i nieszczęśliwym. Nie jedna z kobiet ówczesnych ubiegała się o zaszczytne pośmiertne wspomnienie, jak żona naszego Klemensa z Ruszczy, Raczysława, którą uczczono na kamieniu grobowym napisem: matka biednych (mater pauperum).

W XIV wieku, pod wpływem silnych wstrząśnień społecznych napotykamy niewiasty walczące słowem lub mieczem, w obronie przekonań lub swego prawa. Mamy tu głównie na myśli katarzynę z Sienny, gorliwą obronicielkę praw Urbana VI przeciwko antipapieżowi Klemensowi VII, a Joannę de Monfort, tę niewiastę z lwiém sercem i bronią rycerza.

Pierwsza bierze udział w religijno-politycznéj walce rozdwojonego kościoła, druga staje w obronie praw dziedzicznych męża i syna do tronu Bretanii. Przypatrzmy się bliżéj téj niewieścio-rycerskiéj postaci.

Edward III król angielski, na mocy pewnych posiadłości pozostających w stosunku lennym do Francyi, był wassalem króla Filipa VI. Położenie to było upokarzającém dla monarchów angielskich, kiedy z drugiéj strony, królowie francuzcy pragnęli wyrugować niebezpiecznych wassalów ze stałego lądu. Edward III, wezwany do złożenia Filipowi VI hołdu z Guyenne i hrabstw Ponthieu i Montreuil, nie chciał zrazu stawić się wcale, usłuchał wszakże późniéj głosu doradców i przybył, lecz uzbrojony od stop do głowy, w koronie, z wielkim przepychem, kiedy ceremoniał wymagał złożenia hołdu z odkrytą głową, bez rękawic, miecza i ostróg. Nakłoniono go wprawdzie z trudnością do odłożenia na bok monarchicznéj dumy i zastosowania się do przepisów, nie zapomniał atoli doznanego upokorzenia i poprzysiągł śmiertelną Filipowi nienawiść. Oprócz osobistéj urazy inne jeszcze przyczyny pobudziły Edwarda do rozpoczęcia krwawéj długoletniéj wojny. Rościł on pretensyę do francuzkiego tronu, jako siostrzeniec byłego króla Karola, chociaż kobiety, a zatém potomkowie linii żeńskiéj, usunięci zostali wyrokiem parlamentu od następstwa. Nie śmiał wprawdzie piętnastoletni król angielski występować z nieuzasadnionemi roszczeniami. Dopiero kiedy Robert hrabia d'Artois poróżnił się ze swym szwagrem królem francuzkim Filipem i schronił się do Anglii, postanowił Edward skorzystać z téj okoliczności i wypowiedział wojnę Francyi. Pierwsze wyprawy nie powiodły się Edwardowi. Zmuszony nadto do czuwania nad utrwaleniem i zabezpieczeniem władzy we własnym kraju, odłożył na czas nieograniczony dalsze wojownicze działania, kiedy zatargi w Bretanii o następstwo tronu, podały mu znów broń przeciwko nieprzyjaciołom.

Ostatni książe Bretanii armorykańskiéj Jan III nie pozostawił potomstwa, zatém przekazał berło mężowi swéj synowicy, Karolowi księciu de Blois, siostrzeńcowi króla Filipa. Bretończycy niechętni obcemu, to jest francuzkiemu księciu, wezwali na tron Jana Monfort'a, brata Jana III, z jednego ojca lecz z innéj matki. Monfort w myśli pozyskania silnego sprzymierzeńca, złożył hołd Edwardowi III. *(d. c. n.)*

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 10).

Gdy się to dzieje, na gościńcu dobrze przodem przed wszystkimi poleciał Juliusz Dziemba z tą informacyą, aby sobie gospody szukał pod „Polskim Trębaczem," kędy pocztylioni stawać nawykli, co z listami extra do króla posyłani byli. Dobił się do stolicy właśnie w taką nieszczęśliwą porę, gdy z Niemiec różnych książąt, z całego świata podróżnych moc się była wielka zbiegła do stolicy, w nadziei jakichś uczt i uroczystości nadzwyczajnych. Po niemiecku niewiele rozumiejąc, a ufając temu, że tam siła swoich znajdzie, Dziemba dotarł do nowego miasta (dziś się ono starém nazywa na odwrót), a że w ulicach był i jezdnych i powozów i lektyk i pieszych tłok nadzwyczajny, utonął w tłumie sam już nie wiedząc co począć. Szczęściem pacholika z podgoloną głową, gąsiorek pod pachą niosącego, zobaczył.

— Na miłość bożą — chłopcze — zawołał po polsku do niego — ratuj ziomka, a powiedz mi gdzie ja się tu mam podziać?

Chłopiec zęby białe pokazał: — A wy to zkąd?

— A no, widzicie po mowie! wśród tego szwargotu — obałwaniałem, nic nie rozumiem. Prowadźcie mnie do jakiéj gospody, gdzieby się można ludzkim rozmówić językiem.

Chłopiec mu wciąż w oczy patrząc śmiał się.

— A to wy myślicie — rzekł, że wy tu kąt znajdziecie gdzie? ale! ale! wszystko zapchane.

— Gdzież gospoda pod Trębaczem?

— Ja cię do niéj zawiodę, a co po tém? tam kąta nie ma.

Poszli tedy przeciskając się, chłopiec z gąsiorkiem przodem, ten konia za sobą wlokąc za nim. Tymczasem w tłumie ktoś miłosierny, żeby szkapa zbyt wielkiego nie dźwigała ciężaru, troki poobcinał i tłomoczek przygarnął. Dziemba nie rychło się opatrzył. Przybyli pod Trębacza... Dziedziniec pełny, do stajni ani się docisnąć, gawiedzi wszelakiéj jak mrowia... kiedy spojrzy, aż z za wrot blada twarz Janka woźnicy pana Zygmunta patrzy, ale tak smutno jakby po tygodniu postu. Rzucił się tedy ku niemu chłopca zabywszy: — Chwalić Boga! jest pan?

— Albo ja wiem! ziewając syknął Janek.

— Jakże nie wiesz?

— Co mam wiedzieć! Pięć dni jakeśmy go nie widzieli — gdyby w wodę wpadł. Gospodarz obroku i strawy nam już dawać nie chce, konie żłoby gryzą, my chleb suchy, a pana ani widu ani słychu.

— A gdzież go szukać?

— Albo ja ta wiem gdzie? odparł Janek, jak się kropnął raz ztąd, tyle go oczy widziały. Nam tu chyba z głodu przyjdzie pozdychać!

Co człowiek klnie i łaje — oni nie rozumieją nic... jak groch na ścianę... nawet nie ma téj pociechy, żeby się z którym poczubić.

— Przecież pan w mieście jest?

— Abo ja wiem czy on jeszcze na świecie! obojętnie głodny Janek wyśpiewał.

Obejrzeli się w dodatku do wszystkiego, że z trok tłomoczek zniknął Dziembie, którego całe mienie w nim było, aż się na płacz zbierało. Siadł przy Janku na kamiennym słupku i we dwóch zaczęli litanię klątw na Niemców, przyczém może się co komu więcéj dostało. Już było z południa, postawił konia Dziemba, a że szczęściem trzosik chudy miał w kieszeni, poszedł Janka nakarmić i sam coś zjeść na miasto. Posilili się oba kiełbaskami, a że o konie w gospodzie byli bezpieczni, bo wyrostek przy nich został, Dziemba poprosił Janka, aby go trochę oprowadził.

Na Zygmunta musieli czekać zlitowania bożego — by ono im go dało w ręce, nie wiedzieli wcale i nie mieli pojęcia gdzie go szukać. Przewlekli się tak po rynku pełnym jeszcze, przez zamkową ulicę, zajrzeli w bramę, wyszli ku mostowi, wszędzie ścisk znajdując ogromny i ledwie mogąc wyminąć między końmi, wozami, lektykami i ciżbą. Około zamku dostali od halabardnika sążnistego po plecach, aby prędzéj z drogi schodzili, i uznojeni wrócili pod Trębacza. Dziemba tylko trochę się obeznawszy z ulicami, na jutro wyprawę odkładał.

Drugiego dnia gdy się na słomie w stajni przespawszy obudził Juliusz, chciało mu się płakać, po co on tu z wielkiéj gorliwości zapędził się za owym panem, który mu tu tak mógł dać zdechnąć jak swoim koniom i sługom. Zwlókł się nieboraczysko na mszę do kapliczki, którą mu ukazano, potém wędrował po ulicach i zjadł znowu parę kiełbasek popiwszy je wódką, potém już nie wiedział co robić... gdy — a było dobrze z południa — przechodząc rynkiem starym, zapatrzył się w okno. W oknie stała bardzo pięknie wystrojona niewiasta z wachlarzem, i śmiejąc się do rozpuku, ręką i rękawiczką dawała mu znaki aby wszedł. Dziemba obejrzał się naprzód czy to się do kogo innego nie stosuje, lecz zaprosiny te widocznie były dla niego. Zawahał się — piękna twarzyczka ze śmiechem, którego utulić nie mogła, ciągle gwałtownie mu ukazywała, ażeby szedł na górę. Zbliżył się do okna zdumiony, osoba była zupełnie nieznajoma, a z ust jéj szybko raz po raz zaczęło się sypać:

— Siemba! Siemba! Siemba!

Nie było więc wątpliwości, że nie kogo innego tylko jego wołano. Acz nadzwyczaj skłopotany, pomyślał, że szlachcicowi nie wypadało nie wiedzieć czego się uląknąć i śmiało wszedł do kamienicy.

Wschody były przyciemne, lecz ledwie się na nie wdrapywać począł, w górze otworzyły się drzwi, usłyszał czyjś zmieniony głos — Dziemba! i pospieszył nań. Drzwi zastał na rozcież odemknięte, z obu ich stron stały dwie kobiety bardzo przystrojone, całe we wstążkach i kokardach, uróżowane, ubielone, trzewiczki na korkach, ręce po łokcie obnażone, w gorsecikach jakichś jak w pudełkach a do gorsu postrojone, na głowach upudrowane dwie piramidy z kwiatami tak misternie fryzowane ujrzał, iż osłupiały stanął. Kobiety śmiejąc się wciąż go do środka wzywały... ale nie mówiły nic, gestami tylko pokoje dalsze pokazywały. Cóż było robić? Mimo że sobie widocznie drwiono z niego, posunął się daléj.

Pierwszy pokój był pięknie przystrojony, meble złocone z jedwabnemi przykryciami, zwierciadła w porcelanowych ramach, pająk od sufitu jakby cały z kwiatów i ptaszków ulepiony, ale w nim... nikogo. Drzwi się zaraz zamknęły, a dwie kobiety co u nich stały, gdzieś znikły. Dziemba znalazł się sam jeden i nie wiedział co myśleć. Drzwi do drugiego pokoju stały otworem, zajrzał doń. Drugi był jeszcze wytworniejszy. Ściany w nim całe lśniły od jedwabiów. Stolik przed kanapką wysadzany był z marmurów, posadzka wyglądała jak szkatułka cała w kostki i floresy. W rogach na kolumnach wazony malowane dźwigały snopy kwiatów, których woń rozchodziła się w powietrzu. Żywéj duszy i tutaj. Dziemba szedł powoli, lecz coraz śmieléj. Co to wszystko miało znaczyć? Z pokoju tego ostrożnie wyglądając, dostrzegł niby sień wyłożoną marmurem, ogromne okno z niéj na pół otwarte wychodziło na balkon balustradą marmurową obwiedziony. Na balkonie złocona stała klatka, a w klatce siedziała papuga zielona, która postrzegłszy Dziembę, zaczęła kręcić głową i wrzeszczeć:

— Gute Nacht! Gute Nacht!

Wszystko to dziwnie go drażniło — Co daléj robić? Oczywiste z niego sobie ktoś stroił żarty! Wrócił się Dziemba nazad z mocném postanowieniem wyjścia z tego jakby zaczarowanego domu. Doszedłszy jednak do pierwszych drzwi, znalazł je na klucz zamknięte, a gdy się odwrócił, postrzegł, że i te któremi do papugi chodził po zamykały się. Natomiast gdzie w ścianie żadnych wprzódy nie było, zobaczył otworzone, a przez nie widok osobliwszy. Cichuteńko, bez ruchu, jak skamieniałe, siedziało u stołu towarzystwo z kilkunastu osób złożone, niby obraz żywy wyglądające...

Na stole zastawionym obficie, ubranym w wazony, szkła, kwiaty, porcelanę, figurki, w półmiskach stały owoce, potrawy, cukry i łakocie. Postrojone kobiety oparte jedna na łokciu, druga na ramieniu mężczyzny, inna z rękami w wieniec nad głową, patrzały wszystkie na nieszczęśliwego Dziembę. Stroje ich były osobliwe, a jaskrawe i mnóztwem świecideł popstrzone... jaskrawe też twarzyczki i oczy i usta wiśniowe, około których loki fryzur i brylanty zausznic i naszyjników łyskały. Wśród nich naprzemian siedzieli mężczyźni w maskach, jeden z nosem ogromnym i chińskiemi wąsami do pasa, drugi w sukni Arlekina, trzeci w peruce jak fura siana i okularach jak talerze, czwarty z rogami na głowie i uszami sterczącemi do góry.

Patrzał Dziemba, patrzał na ten bankiet osobliwszy i coraz go nieruchomość ta więcéj męczyła, gdy — nagle muzyka jakaś słyszeć się dała... wszystko ożywiło się, ruszyło, zagadało, a jedna z pań jęła Dziembę ręką zapraszać do stołu i wołać usty śmiechu pełnemi:

— Siemba — Siemba!

— Mężczyzna w peruce i okularach podniósł kielich pełny do góry i wyciągnął go ku niemu, wołając — Fifat Siemba!! Wszyscy przytomni pochwycili za szklanki, kielichy, flaszki i echem rozległo się — Fifat!!

Wszystko mu się jeszcze zdawało, że gdzieś w stajni pod Trębaczem usnął, że mu się licho wie co marzy, a radby się był z tego snu otrząsnął, gdy głośnym śmiechem parsknął ten co miał rogi, zerwał maskę z twarzy i uradowany Dziemba ujrzał — kochanego Zygmusia.

Zygmuś bawił się tu szczęśliwie, *avec les Comediens ordinaires du Roi...* Skoczył on z za stołu i pobiegł do zdumionego chłopaka. Wszyscy ogromnym znowu chórem śmieli się i klaskali. Prolog sztuki doskonale był odegrany. Posadzono Dziembę do stołu nie pytając o nic, nalano mu puhar wina, podsunięto pieczeń, a gdy reszta towarzystwa weseliła się jako chciała śpiewając i krzycząc, Zygmunt klapnął go po ramieniu.

— Co ty tu robisz? zkądeś się tu wziął?

— Z dobréj woli pewniebym był się nie zabił w ten kraj niemiecki, westchnął Julek — ale mnie miłość ku panu przygnała.

— Cóżeś się zatęsknił? parsknął Zygmuś.

— Gdzie zaś panie! gdybym tęsknił, tobym musiał zdychać, bo dogodzić sobie trudno — a no nieszczęście się stało.

— Co za nieszczęście?

Dziemba namyślał się jak mu to ma powiedzieć.

— Jejmość okrutnie się na pana rozsierdziła.

— Ale ba — to minie.

— Pono nie, bo ona tu za panem jedzie, a na moje uszy słyszałem, że się temi słowy odgrażała: — jak psu mu w łeb strzelę!!

Zygmuś, który się nigdy nie spodziewał, ażeby żona tak na seryo brać miała wybryk jego — widocznie się zmieszał. Znał Elżusię tyle, iż wyrzeczonego słowa jéj nie lekceważył.

— Widząc panie, że to nie żarty, że pani się do drogi pakuje z panem Eligim, a krucice do kieszeni wzięła, drapnąłem ja przodem, aby miłemu panu oznajmić i przestrzedz. Com biedy i głodu napytał i strachu, Panu Bogu chyba ofiaruję.

Zygmunt poklepał go po ramieniu.

— To ci nie przepadnie, rzekł — bądź spokojny... ale miałażby ona aż tu gonić za mną? Hę?

— Nieochybnie, tylko co jéj może nie widać!

— Któż z nią?

Dziemba począł liczyć konie i ludzi i wszystko co się do podróży sposobiło.

Zygmunt potrząsał ramionami.

— To coś nie żartem, rzekł rozgniewany — ale jak pójdzie między nami na udry, tom i ja nie malowany! Niech przyjeżdża, zobaczymy co mi tu ona zrobi? a najprzód czy mnie tak weźmie jak się jéj zdaje? Jeśli ona gonić umie, ja potrafię uciekać. A to baba! zawołał — nie prządłoby to przy piecu kądzieli? hę? nie śpiewałaby godzinek! Zachciało się świat sobą zajmować i grać heroinę... niech ją...

(d. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Bezinteresowni, komedya w czterech aktach prozą przez Zyg. Sarneckiego.

Są tytuły, które postawione na czele utworu sztuki, od razu już budzą w duszy czytelnika lub widza szereg wniosków przesądzających samą treść dzieła i określających co do niéj pewne stanowcze wymagania.

W tytułach takich tkwi szkopuł, o który łatwo rozbić się zdolnościom i dobrym chęciom autorskim. Myśl bowiem czytelnika domaga się uporczywie rozwiązania wysnutych naprzód pytań, a nie zaspokojona w tém apodyktycznem pragnieniu, z niechęcią odnosi się do całości dzieła, pomimo widniejących w niém niezaprzeczonych zalet.

Korzystniéj więc byłoby dla autorów, nie uprzedzać się samą nazwą utworu o jego celach i założeniach. Uniknęłoby się przez to smutnéj nieraz kollizyi pomiędzy szumną zapowiednią a błahą i nieudatną treścią.

Gdybyśmy chcieli zapatrywać się na przedstawioną w ubiegłym tygodniu komedyę p. Zygmunta Sarneckiego, biorąc jéj tytuł za punkt wyjścia,—powiedzielibyśmy wspólnie z większą częścią bezstronnych słuchaczów: „Zmarnowany przedmiot, a szkoda! Ileżby to się dało powiedzieć na ten temat fałszywéj bezinteresowności, zręcznie maskowanéj obłudy, podstępnego wyzyskiwania zacnych serc i dobroczynnych umysłów!"

Ale krytyce nie wolno zatrzymać się na stanowisku wrażeń przez utwór wywołanych. Obowiązki jéj sięgają daléj i głębiéj. Powinna zbadać dzieło objektywnie, rozebrać jego części składowe, wyjaśnić punkta ciemne, wykazać niezgodności idei z akcyą, formy z treścią, pomysłu z wykonaniem. Nie zwracając zatém dłużéj uwagi, na dysharmonijny stosunek zachodzący pomiędzy tytyłem: „Bezinteresownych" a ich osnową, — przystępujemy wprost do rozbioru komedyi.—Oto jéj treść:

Piękna, ukształcona i zaopatrzona w dwumilionowy posag Amelia (p. Modrzejewska), otoczona jest gronem konkurentów, usilnie dobijających się o jéj względy. Z pomiędzy nich, palmę pierwszeństwa serce bogatéj panny przyznało p. Adolfowi Czarnorodzkiemu (p. Swieszewski). Ów p. Adolf, jest to zbankrutowany panicz, prowadzący życie zbytku i rozkoszy, dzięki łaskom zakochanéj w nim na zabój hrabiny Milskiéj (p. Bakałowiczowéj). Łaskawy jednak chleb, przy kobiecie nawet tak młodéj i pięknéj jak hrabina, przykrzy się bohaterowi, w którego duszę autor starał się wlać jakiś demoniczny ogień trawiącéj gorączki użycia. Posag Amelii przedstawia się jak deska ocalenia rozbitkowi w życiowéj podróży, ku niemu więc zwracają się wszystkie jego pragnienia. Pozyskawszy obietnicą hojnego wynagrodzenia dwie ubogie kuzynki bawiące w domu Amelii, p Artemizę Koczkodańską i jéj córkę Antoninę (p. Niewiarowska i p. Popiel), Adolf udaje się nadto pod opiekę p. Jana Szczerby Kadzińskiego (p. Ostrowski), rodzaju factotum, człowieka do wszystkiego, a przedewszystkiém wielkiego przyjaciela ludzi obfitujących w pieniądze. Osłoniony tą potrójną protekcyą, kołacze do łatwowiernego serduszka Amelii i zdobywa je bez trudności, jeszcze przed podniesieniem zasłony. Z chwilą rozpoczęcia komedyi, Amelia już kocha Adolfa.



Nr. 1. Wnętrze Kościoła w Lędzie. (61).

Protektorowie nie mając nic do czynienia z téj strony, przepędzają cały czas trwania pierwszego aktu, na eksponowaniu przed widzami swych poziomych charakterów w przewlekłych a bez żadnego celu prowadzonych rozmowach. Galeryę berinteresownych pomnażają państwo Zawraccy, dość pospolite kopie oryginałów z prowincyi, — przywożący swego jedynaka Leonka, śmiesznego i niezgrabnego wyrostka, w konkury do Amelii.

Akt drugi ukazuje nam ogród Saski w chwili picia wód mineralnych. Za kulisami słyszeć się dają dźwięki muzyki, głąb sceny zalega tłum wystrojonych spacerujących komparsów. Na pierwszym planie autor postawił z kolei wszystkie znane nam już dotąd postacie komedyi. Kadziński rozmawia z Koczkodańską o zagmatwanych interesach Adolfa, przyczém kłania się charakterystycznie przechodzącym osobom, w miarę ich stanowiska społecznego. Adolf oświadcza się przedmiotowi owych zabiegów i zostaje przyjęty. Państwo Zawraccy przychodzą przypatrzyć się warszawskiemu życiu, Antosia ko-

kietuje Stanisława Gromadzkiego, poczciwego kuzyna Amelii, wreszcie zjawia się hrabina wsparta na ramieniu kochanka *in partibus*, wielkiego zwolennika koni i wyścigów p. Zerowskiego, od którego dowiaduje się o zdradzie Adolfa. Wieść ta piorunowo działa na czułe serce modnéj lwicy, i pod jéj to zapewne wpływem, obrażona piękność wypowiada jednym tchem tyradę o bezinteresowności, stanowiącą prawdopodobnie w przekonaniu autora myśl przewodnią komedyi.

„Bezinteresowność — woła hrabina — to rak toczący zdrowe ciało naszego społeczeństwa! Patrz! oto ta dama bezinteresownie wprowadza w świat owego finansistę przez swoje salony, a on ją za to obsypuje złotem. Ten filantrop pod pozorem miłości bliźniego własną kieszeń bogaci i t. d. i t. d. A ja nie jestem lepszą od innych, gdyż *bezinteresowność oceniłam na wagę złota* i teraz srogo za to pokutuję."

Podkreśliliśmy ostatnie wyrazy, jako szczególnie charakteryzujące osobistość, przez usta któréj autor wygłosił morał sztuki. Kobieta mająca odwagę głośno wyznać, że pieniędzmi opłacała uczucie, ośmiela się jednocześnie moralizować i potępiać obłudę, zapuszczającą korzenie w samo serce społeczeństwa. Jest to scena jasno przekonywająca, jak mało zastanawiał się p. Sarnecki nad charakterami użytemi za czynniki akcyi,— jak postawiwszy sobie w umyśle ogólnikowo sformułowaną tendencyjkę, poświęcał dla niéj prawdę psychiczną i warunki sztuki.

Powróćmy do komedyi.

Adolf otrzymawszy tak drogie dla niego przyrzeczenie, ściska z nietajoną radością ręce Kadzińskiego. Nagle z bocznéj alei występuje hrabina. „Podaj mi pan rękę i odprowadź do domu" — mówi groźnie. — „Co to znaczy pani?" — zapytuje zmieszany bohater sztuki.— „Restauracya méj woli po długotrwałéj abdykacyi"— odpowiada hrabina sucho.

Na tém kończy się akt drugi.

Po takiéj energicznéj restauracyi, słuchacze spodziewali się gwałtownych scen zazdrości, — walki, w któréj charakter Adolfa znalazłby sposobność silniejszego niż dotąd zarysowania się, wreszcie wybitniejszego działania bezinteresownych przyjaciół, mającego na celu wyswobodzenie protegowanego z niemiłych i uciążliwych więzów. Nadzieje te zawiódł najzupełniéj autor, przenosząc widzów w akcie trzecim do mieszkania Amelii, gdzie pośród przygotowań do ślubu, prawdziwie i fałszywie bezinteresowni przychodzą ostrzegać piękną narzeczoną o złéj opinii świata, otaczającéj wybranego przez nią człowieka. Ostrzeżeń tych słucha Amelia z oburzeniem, ale im nie wierzy. Czeka narzeczonego smutnych przeczuć pełna, lecz kochająca. Adolf przychodzi ze słowami miłości na ustach, ale w ślad za nim, jak fatum starożytne wpada do salonu Amelii hrabina, i straszliwém wyznaniem popartém wekslami, niweczy od razu czarowne złudzenia i nadzieje szczęścia zakochanéj dziewicy.

W akcie czwartym dzieją się rzeczy wstrętne, a do całości sztuki wcale niepotrzebne. Antosia otrzymawszy w darze od wspaniałomyślnéj Amelii milion posagu i ukradłszy porzucone przez hrabinę weksle, ufna w siłę tego podwójnego oręża pragnie zostać żoną zhańbionego i spoliczkowanego publicznie Adolfa, którego poprzednio kochała w tajemnicy. Za pośrednika służy znów Kadziński. Adolf upijający się już z rozpaczy, chwilowo zezwala na tę nową kombinacyą i pisze list z oświadczeniem do pani Artemizy, ale prędko zmienia projekt i przychodzi w nietrzeźwym stanie wypowiedzieć kilka gorzkich prawd wszystkim, co go tak bezinteresownie wspierali i samemu sobie. Zapowiada, że wśród huku dział pójdzie zmazać winy żywota. Weksle odkrada Antosi Leonek Zawracki, teraz już konkurent do jéj miliona, który nareszcie po odstępstwie Adolfa otrzymuje.

Czy to wszystko? zapyta niejeden z czytelników, mający razem z nami cierpliwość śledzić koleje czterech aktów téj komedyi. Wszystko już — odpowiemy z westchnieniem, uznając słuszność pytania, które główny i stanowczy zarzut przeciwko „Bezinteresownym" obejmuje.

Niedojrzałość pomysłu, każdego uderzyć tu przedewszystkiém musi. Intryga zawiązana pospiesznie, prowadzona bez namysłu, posługiwała



Nr. 2. Część malowidła w kaplicy przy Kościele w Lędzie. (62).

widocznie autorowi za kanwę, na któréj haftował swoje spostrzeżenia o bezinteresowności. Gdy ostatni ścieg został zrobiony i materyału do dalszéj pracy zabrakło, kanwa pozostała niezapełnioną. Z niektóremi figurami postąpiono bardzo niegrzecznie; Kadziński, p. Artemiza, państwo Zawraccy, hrabina, jakby uznając, że nie mieli praw bytu w komedyi, nie uczestniczyli w jéj rozwiązaniu.

Wspomnieliśmy na początku téj sceny o zgodności idei z akcyą, uważanéj przez nas za warunek *sine qua non* sztuki dramatycznéj. Téj harmonii, cechującéj dzieła mistrzów dramatu i komedyi, napróżnobyśmy szukali w utworze p. Sarneckiego. Założenie autora zasadzało się w téj sztuce na przedstawieniu subtelnych odcieni obłudy wyzyskującéj w imię celów pozornie szlachetnych, serca pełne zapału i prawdy. W bezinteresownych są wprawdzie postacie dodatnie i ujemne, ale o oddziaływaniu jednych na drugich mowy nawet nie ma. Akcya utworu obracająca się przeważnie około małżeństwa Adolfa i Amelii, zawiązuje się i rozwiązuje bez wpływu reszty osobistości. Katastrofa aktu trzeciego jest wypływem nie upozorowanéj niczém łatwowierności Amelii, finansowo miłosnéj zazdrości hrabiny, a głównie tajemniczéj fatalności, którą autor nad głowami dwójga kochanków uznał za stosowne zawiesić. Dla przeprowadzenie zaś pierwotnego pomysłu, należało środki działania używane przez fałszywie bezinteresownych, ukazać w takiém oświetleniu, aby ono posiadały rzeczywistą siłę olśniewającą. Obłuda powinna była wywołać ułudę. Tymczasem Amelia, będąca punktem środkowym zabiegów, zna od razu i dokładnie wartość otaczających ją protektorów i konkurentów (oprócz Adolfa), a choćby jéj nawet nie znała, koleje sztuk i nie uległyby prawdopodobnie żadnéj zmianie.

Po tém, cośmy już powiedzieli wyżéj, nie będziemy się dłużéj zatrzymywali nad wartością, stworzonych przez autora charakterów. Wszystkie są trzymane w jednakowym, bezbarwnym tonie. Mówią wiele, działają mało. W żadnym z nich autor nie złożył samowiedzy dążeń i celów, więc też poruszają się jak maryonetki, za pociągnięciem nitek, których nawet ukryć przed oczyma widzów zaniedbano.

Pozostaje nam już tylko zastanowić się nad stroną zewnętrzną komedyi, nad jéj budową. Niekonsekwencye akcyi wpłynęły niekorzystnie i na całą technikę. Sceny następują po sobie w leniwym pochodzie, bez wyraźnego związku, a wszystkie razem zdają się wyłącznie służyć ku przygotowaniu efektów kończących akty. W efektach tych przebija się czasem oryginalność, częściéj ślepe naśladownictwo nowszéj francuzkiéj szkoły. Wprowadzenie na scenę głównego bohatera komedyi, w scenie kończącéj akt pierwszy, uważamy za jeden ze szczęśliwszych pomysłów sztuki. Dykcya nie grzesząc przeciwko czystości języka,— nie stała się ani razu wymowną i przekonywającą, a w scenach dramatyzowanych, razi napuszystością i przesadą.

W ogóle komedya pana Sarneckiego, zamknięta w kole pospolitych motywów akcyi i charakterów, bez wyraźnego kolorytu, pozbawiona jest głównego warunku wszelkiego dzieła sztuki: kontrastów świateł i cieni. Światła są bledsze od księżyca zatopionego w mgłach wieczornych, a wśród cieni bezładnie narzuconych żaden śmielszy sztrych się nie rysuje.

* * *

Sumiennéj pracy artystów, powołanych do odtworzenia „Bezinteresownych" na scenie, należy się wszelkie uznanie. Pani Modrzejewska w postać Amelii wcieliła wiele wdzięku i szlachetnéj prostoty, starając się wyrazistą grą mimiczną uzupełnić niedoznaczony przez autora ideał. Pani Bakałowiczowa zręcznie przesunęła się po stromych pochyłościach charakteru hrabiny, osłaniając zbyteczną nagość téj postaci majestatycznym płaszczem obrażonéj dumy i zranionego uczucia kobiety. Panna Popiel przyodziała wstrętną rolą Antosi, powabnym polorem naiwności i filuteryi, —z któremi to odcieniami talent téj artystki tak dobrze się godzi.

KRONIKA.

Garstka wiadomości, które otrzymaliśmy z prowincyi, zawiera trzy specyały: nudy, ubóztwo i zbytek.

A więc na pierwsze danie ofiarujemy czytelnikom — nudy. Tylko nie śmiejcie się. Nieżyczliwym dostarczy to przedmiotu do wielce dowcipnych żartów. Postaramy się ową potrawę leciuchną, to *nic* miejscowe, przyprawić analizą posilniejszą.

To co nazywamy nudami, co ma być cechą bajronicznych umysłów, chorobą wieku i t. d., co otacza urokiem wybladłe skronie elegantów i smętne oblicza dziewic, — przedstawia dziwną analogię z fenomenem fizycznym, który pospolicie zowiemy *zimném*. Czém jest zimno?... Jest to malutka (względnie) ilość ciepła czyli ruchu cieplikowego, podług teoryi Grovego, Tyndalla i innych. Nudy są także niezmiernie szczupłą, najczęściéj ujemną ilością ruchu umysłowego i moralnego. Gdzie sporo jest rozumu, uczucia i woli — tam nudów nie ma. Nudy wypływają z próżni, z zaniechania pracy fizycznéj i umysłowéj, jak zimno pochodzi z braku materyałów palnych, dostarczających ciepła piecom—i organizmom. Pierworodném dziecięciem próżni jest *próżność;* z téj rodzi się zbytek, ze zbytku — ubóztwo. Oto jest drzewo genealogiczne, którego zawieszenie na ścianach pokojów i buduarów radzimy pięknym paniom i panom.

Nie zawsze jednak nadajemy rzeczom właściwe nazwy. Nudami nazywami czasem znużenie spracowanego umysłu, zbytkiem — zaspokojenie potrzeb zwyczajnych. Jedna z korrespondentek *Kuryera Lubelskiego* (jedyna, może?) gniewa się na młode mieszczki, córki szewców, garncarzy, kuśnierzy i t. d., strojące się w tkaniny wełniane, noszące trzewiki na wysokich obcasach po kilkanaście złotych para... „Kapeluszy tylko jeszcze nie używają, bo starzy rodzice gromią dzieci za zbytki, a o kapeluszach i słyszeć nie chcą: „jak włożysz jeszcze do tego pańskiego stroju kapelusz, mówił ojciec do wystrojonéj córki, to twoja albo moja śmierć koniecznie nastąpić musi.“ Czy to żart?... Nie jedna szewcówna ma większe prawo do noszenia zgrabnych trzewiczków, niż odłużone panie. A zresztą wszystko idzie z góry. „Ileż to kobiet dla zdobycia sukni z ogonem poświęca spokój domowy! Wszyscy bez wyjątku wyszliśmy z granic życia umiarkowanego, opanował nas szał, pniemy się nad stan, chcemy udawać panów, słowem naśladujemy ową żabę w bajce, która widząc jak kuli konia, nogę do kucia nadstawiała.“

W częstochowskiém uskarżają się na eksploatacyę kraju przez stare przymierze i nowo-niemiecki zakon. Do zajmujących szczegółów w téj mierze korrespondent *Wieńca* z pod Kłobucka dodaje następujące uwagi: „W ogóle, mimo smutnego stanu finansowego, gospodarstwa idą tu nieźle i mniéj więcéj z postępem czasu. Sprowadzają się nowe machiny, probują nowych sposobów ulepszania roli, zasiewają w znacznéj ilości trawy pastewne; słowem krzątają się ile możności około roli... Smutno jednak pomyśleć, że przytém zapominają najczęściéj o wyższych celach życia. Nauka, literatura krajowa, słowem cała strona duchowa, interesują chyba tylko jako reminiscencye przeszłości, i to nie wszystkich, bo są i tacy, których to nigdy nie interesowało. Prócz starych luźnych szpargałów, kollekcyi Roczników gospodarstwa krajowego (i to jak widać nie czytanych), gazety *Warszawskiéj* lub *Polskiéj* i pary kalendarzy, zwykle nic więcéj w domu do czytania nie ma. Co smutniejsza, że i w młodzieży przeważa kierunek utylitarny i materyalny. Jedni zakochali się w groszu i spekulują na bogate ożenienie; drudzy zwątpili o wszystkiém i opuścili uszy; trzeci nic nie myślą i wegetują jak pasożytne zielska. I najmłodsza generacya niewiele dobrego obiecuje. Wychowanie fizyczne i moralne w ogóle zaniedbane... Są zapewne szczęśliwe wyjątki, ale tych chyba bardzo niewiele. W ogóle pojęcia o wychowaniu dzieci są między szlachtą naszą bardzo mętne i niesformułowane. Większa część nie wie prawdziwie co począć z dziećmi i jak je prowadzić... Jedni wynoszą pod niebiosa wychowanie obce... Znaleźli się nawet tacy, co poodsyłali swoje dzieci do szkół pruskich — i bardzo z tego kontenci, że synkowie przerobią się prędko na niemczurów. Znam jednego obywatela, który z wielkiém zadowoleniem czytał w towarzystwie list swego wnuka pisany po niemiecku, w którym mu donosi jak się na jakiejś *Kirchmessie sehr gemüthlich unterhalt'* ował ze swoimi kolegami. Drudzy, może rozsądniejsi zalecają wychowanie krajowe... Najmniéj jest stronników edukacyi francuzkiéj... Lud wiejski jest pracowity, ale chciwy na zysk i zazdrosny; grzeszy zwłaszcza przeciw 9 i 10-temu przykazaniu. Pobożność, o ile się zdaje jest dla niego rzeczą zwyczaju, przyzwoitości, a nie potrzebą serca.“ Że strona ciemna przeważa nad światłą, to naturalny skutek ciemnoty, w któréj jeszcze pogrążony ten biedny lud. Zdolności i naturalnego rozumu mu nie brak, ale brak mu światłych i uczciwych przewodników.

Z przyjemnością notujemy jeszcze jeden objaw życia po za Warszawą. W Petrokowie wyszedł *Rocznik na rok 1872*, którego treść i wartość nasuwają myśli nie zbyt podchlebne dla noworoczników warszawskich. Obok działów informacyjnego i statystycznego, dobrze opracowanych, znaleźliśmy tam powieść „Perła zatracona.“ Jest to rzeczywiście perełka; — bodajby nie była zatraconą!... Tyle tam talentu, tyle znajomości stanu, który autor wyprowadza na scenę; tak umiejętne traktowanie przedmiotu, że śmiało wróżymy p. Plenkiewiczowi świetną przyszłość pisarską.

D. 23 stycznia odbyło się zgromadzenie pierwszych członków przystępujących do Warszawskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, celem wyboru osób do Rady i Zarządu. Zebrani po jednomyślném oświadczeniu wdzięczności ks. J. T. Lubomirskiemu, A Nagórnemu i innym, którzy się przyczynili do wyjednania tak ważnéj instytucyi, przystąpili do wyborów. Większością głosów wybrani zostali na członków Rady: ks. J. T. Lubomirski, Władys. Gruszecki, J. G. Bloch, St. Brun, A. Nagórny i J. Goldstand; na członków Zarządu J. Wieniawski, J. Herman i hr. K. Jezierski.

„Spożywczy Merkury“ wyjawił usposobienie burzliwego Eola, nader szkodliwe dla spożywczości własnéj. Fakt ten, wielce ciekawy ze względu na wyobrażenie, jakie daje o dojrzałości naszego społeczeństwa, najlepiéj ocenila Gazeta Handlowa: „Nic smutniejszego nad posiedzenie nadzwyczajne członków stowarzyszenia „Merkury,“ na którém 32 stowarzyszonych żądało od zebrania ogólnego zamianowania przez wybory nieustającéj delegacyi z 20 członków, mającéj kontrolować lepiéj *jak dotąd* czynności Zarządu... Żądania wnioskodawców nie tylko że nie rozebrano należycie, ale nawet jasno nie pozwolono przedstawić... Cel zebrania był chybiony, bynajmniéj nie z winy wnioskodawców... Zarząd proponował odrzucenie wniosku *trzydziestu dwóch,* przyznając się, choć niewyraźnie do nieudolności... Rzeczywiście wniosek *trzydziestu dwóch* przepadł, dla tego że żadną miarą i w żadnym punkcie nie można było dojść do najmniejszego porozumienia... Tak pomieszano kwestye, tak zaciemniono istotę sprawy, że sami wnioskodawcy musieli zaprotestować przeciwko sformułowaniu wniosków, jakie uczynił prezes... Zarząd nie miał prawa robić wniosków, które nie do jego należą inicyatywy... Jedném słowem zgromadzenie zwołano w celu polepszenia wadliwości dotychczasowych, a rezultatem jest *zero...*“ *Sunt lacrimae rerum!*

Mieliśmy trzy odczyty publiczne: p. Niewiadomskiego *O ludziach przedhistorycznych,* p. Kamińskiego *O stosunku poezyi do życia społecznego* i p. Gregorowicza: *Myśl i uczucie pod względem wpływu na rozwój cywilizacyi i na wychowanie młodzieży.* P. Niewiadomski zupełnie pominął geologiczną stronę przedmiotu i jedną tylko oryginalną myślą wzbogacił wiedzę ludzką: używanie światła przy eksportacyach pogrzebowych powstało, podług p. N., w *Epoce Rena*!!...

Lekcya pana Kamińskiego o „Poezyi w stosunku do życia społecznego,“ należała do tych rzadkich u nas odczytów z których słuchacz wychodzi z umysłem odświeżonym, i z tém poczuciem, że jakkolwiek nie dowiedział się rzeczy nowych, ale z zajęciem śledził rozwój sumiennie nakreślony znanego już przedmiotu. Zresztą jak zawsze tak i w tym razie, przedmiot ten nie dla wszystkich był zarówno znanym: ten i ów wiedział o przedawnionym sporze stronników sztuki dla sztuki, z hołdownikami celowości w sztuce, — ale nie zdawał sobie sprawy jakim sposobem spór powyższy przeszedł ze sfery oderwanych wywodów do społecznych zastosowań. Pan Kamiński krótko tylko wspomniał o téj walce, która skończyła się niewątpliwém zwycięztwem użyteczności w sztuce, a cały swój odczyt poświęcił historycznemu dobadywaniu się tego pierwiastku nieodłącznego od sztuki i z jéj naturą zrosłego. Zaciśnięte ramy prelekcyi, potrzeba najściślejszego streszczenia się, przykłady czerpane z Taine'a mało znanego a źle notowanego przez publiczność,—a nadewszystko niejasne lub całkiem błędne pojęcia o pozytywizmie, który dla bardzo wielu głośno o nim mówiących przedstawia jakieś *x* wpośród ogólnéj sumy pojęć, — sprawiły, że prelegent zostawił w umysłach wątpliwość co do natury użyteczności, jaka w sztuce wogóle a mianowicie w poezyi winna być zawarta. Twierdzono że p. Kamiński domagał się, aby sztuka posługiwała bezpośrednim potrzebom chwili, aby w dzisiejszéj namacalnéj teraźniejszości wyłącznie szukała sobie piękna i ideałów. Według naszego zdania nie takie było założenie prelegenta, który bynajmniéj nie żądał, jak mu to dowcipnie zarzucał sprawodawca Kuryera Warszawskiego, ażeby młodzi poeci pisali ody do banków dyskontowych. Pan Kamiński uczyniwszy w przebiegu swym historycznym zwrot do naszych wielkich poetów, dowodził, że byli oni na wskroś tendencyjnymi, i że zbrojni tą jasno określoną dążnością krótko bardzo i w nieznacznym stopniu hołdowali manii bajronizmu, która dziś dławi w zarodzie zdol-

ności a nawet talenta młodych poetów. Przyczynę tego słusznie prelegent dostrzega w téj modnéj mizantropii, w téj chorobliwéj nienawiści do ludzi i do społeczeństwa wypływającéj poprostu z próżniaczego egoizmu, z braku solidarności z towarzystwem, pośród którego się żyje, do czego znowu doprowadza zupełna nieznajomość potrzeb téj społeczności, spowodowana ogólnym brakiem wykształcenia, a nawet nieuctwem młodych rymotwórców. Na téj potrzebie nauki i wszechstronnéj wiedzy dla poetów, na konieczności *studyowania potrzeb chwili*, na nielogiczności zamykania się poza społecznością w wyniosły jakiś i pełen próżności egotyzm, prelegent słuszny bardzo położył nacisk, a obraz młodego pokolenia rozkwilonych liryków i demonicznych bajronistów nic nie pozostawił do życzenia. Ostatecznym postulatem postawionym przez p. Kamińskiego była celowość w poezyi, któréj stosunek do życia społecznego zawrzeć można w wyrażeniu: *uszlachetnienie ludzkości przez sztukę*. Nie jest to jak widzimy nowość, choć tak utrzymują gorący a młodzi adepci tak zwanego *nowego kierunku w sztuce*; tylko że ideały dzisiejsze nie rozpływają się już gdzieś we mgłach abstrakcyi, lecz brane są z życia, z rzeczywistości. Kto chce może to nazwać realizmem w sztuce; wyraz ten nikogo ze zdrowym rozsądkiem nie odstraszy, tém więcéj że między *rzeczywistością* a *powszedniością* istnieje przepaść niewidzialna dla tych tylko co w realizmie szukają je lynie sposobności schlebienia swym poślednim, brudnym instynktom.

Szkoda że prelegent pragnąc przykładami objaśnić ów nowy kierunek, przytoczył dwie nader nieudolne próby rymowane Ordona. Przyznajemy, iż nie wzięlibyśmy na siebie odpowiedzialności wskazywania komuś takiéj drogi. Warunki zewnętrzne odczytu odpowiadały opracowaniu jego treści. Pan Kamiński mówił z życiem, z energią i z głębokiém przekonaniem o użyteczności bronionéj przez siebie tezy: a wszystkie te przymioty przyczyniły się do utrzymywania ciągłéj sympatycznéj łączności między prelegentem a słuchaczami, łączności, która zawsze ostatecznie stanowi o powodzeniu odczytu.

Przed trzema tygodniami zmarła w Warszawie Tekla z Wiszniewskich Świergocka. Wzmiankę tę zamieszczamy w „Wieńcu“ z powodu jéj testamentu i rozporządzenia znacznym, pracowicie uzbieranym majątkiem. Zmarła zapisała przeszło 40,000 rubli Towarzystwu Dobroczynności na potrzeby bieżące. Cześć jéj pamięci!...

W poprzedniéj Kronice wspominaliśmy o kwestyach poruszanych na zjezdzie archeologicznym w Petersburgu. Obecnie dowiadujemy się, że na posiedzeniu odbytém 19 grudnia, p. Skimborowicz złożył projekt mappy archeologicznéj słowiańskiéj, na któréj mają być oznaczone wszelkie przedmioty archeologii w obszernym zakresie. Zdziwiło nas zamilczenie wnioskodawcy o projekcie nowych mapp archeologicznych międzynarodowych, przedstawionym Kongresowi Archeologicznemu w Bononii w d. 6 październiku 1871 przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego. Projekt ten zaleca się praktycznością, któraby mogłaby Zjazdowi oszczędzić wiele niepotrzebnych dyskussyj.

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 10.)

Bożek Milion powieść przez Waleryę Marrené (Morzkowską). Warszawa, 1872. —Nemezys przez też autorkę. Niecnota, powieść p. Zbigniewa, 1871., Wychowanica, powieść ze stosunków galicyjskich z 1848 r., przez Alberta Gorowskiego. Kraków 1871.—Nieszczęsny Legat przez J. K. Turskiego. Poznań. 1871 —Opowieści stepowe p. Paulina Stachurskiego, Lwów. — Kraków przed czterdziestu laty p. Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie pośmiertne), Kraków 1871.

Zatrzymaliśmy się nad *Bożkiem-Milionem* nieco za długo: lecz pragnęliśmy wyjaśnić podstawy, na których opiera się sąd nasz o powieściowych utworach.... Zkądinąd *Bożek-Milion* pod względem *wad* prawdziwém jest arcydziełem.... Przy ocenieniu drugiéj powieści pani Marenné nie będziemy tak wielomówni.

Nemezys jest utworem przeważnie uczuciowym. Wypadków tu bardzo mało; jeden pies wściekły i jeden pojedynek wystarczyły autorce dla dopięcia zamierzonego celu. Natomiast ani talent pisarski, ani olbrzymia doza analizy, ani potoki krasomówstwa nie wystarczyły dla podniesienia potwornego przedmiotu na szczebel piękna. Przedmiotem jest miłosne szaleństwo 60-letniego starca. Zdarzają się wprawdzie podobne wypadki w życiu: lecz one mogą być tematem dla studyów teratologicznych, a nie dla dzieła sztuki. Belweder watykański albo florencka Trybuna, nie są miejscem właściwém dla mumii lub kościotrupa. Jeden tylko jest sposób łagodzenia szpetoty w sztuce—komizm. Zakochany starzec jest śmiesznym albo wstrętnym. Pani M. nie chciała bohatera swojego zrobić śmiesznym — pomimo woli więc zrobiła go ohydnym. Od pierwszéj do ostatniéj kartki czytelnik nie może się pozbyć głuchéj niechęci ku owéj postaci, odmalowanéj przez panią M. subtelnie i z zamiłowaniem. Jest to dyagnoza kliniczna odziana w szaty powieści. I gdybyż to ów opętaniec usunięty był na drugi plan, a na pierwszym widniały promnienniejsze postacie!... Gdzież tam!... Cała powieść, dość długa, jest opowiadaniem włożoném w usta samego bohatera. I w tém już jest nieprawda psychologiczna; bo są wyznania trudne do wypowiedzenia nawet przed własném sumieniem; tymczasem w powieści p. M. sędziwy mąż, ojciec dorosłych dzieci, na dobre pozuje w roli pierwszego kochanka, z namiętną acz nieraz ckliwą gwałtownością. Co najdziwniejsza—autorka wkłada mu w usta wyrazy dające do myślenia, że w uczuciach podobnych nie ma nic nagannego ani wyjątkowego. Życie nie ziściło mu żadnego z tych porywów, z tych pragnień, których przeczucie złożone jest w każdéj szerszéj piersi, w każdém szlachetniejszém sercu. Czuł to niewypowiedziane znużenie bytu, napastujące ludzi nie mogących zharmonizować się z otaczającym światem; pragnął czegoś nieokreślonego, czegoś nieznanego; marzył o jakimś zaczarowanym kraju, pełnym współczucia, miłości kraju, którego czuł się wygnańcem... Miłość jego była wybuchem najszlachetniejszych porywów ducha, dowodziła że nic nie stracił dotąd z człowieczeństwa swego.... Daremnie twardém życiem pracy i obowiązków chciał zabić poszepty serca domagającego się także praw swoich; daremnie przykrawał się do miary ogólnéj; pierś jego na przekor chęciom zachowała Fidyaszową miarę, a serce, zamiast zamrzeć, drzemało długo, może dla tego że nic godnego siebie w około nie znalazło... Odrodził się od chwili, gdy ją zobaczył raz pierwszy... I ta miłość miała słodycze swoje. Horyzont jego moralny rozjaśnił się nagle; pierś podniosła się szerzéj, oko zaczęło upatrywać piękność i harmonię w naturze i ludziach. Tęsknota, marzenie i cierpienie miało teraz cel wytknięty, a chociaż cel ten był niedościgły jak gwiazdka na niebie, stało się to dlań ulgą jeszcze... Błogosławił chwilę, która mu ją poznać dała...

I jakże z błogosławieństwem owém pogodzimy uczucie własnego poniżenia? gdyż pomimo niewczesnych zachwytów, 60-letni adonis spoglądał z przerażającą jasnością na wszystkie niepodobieństwa téj miłości; widział, że może to być tylko dla niego źródłem rozpaczy, że rozpacz ta nawet była hańbiącą i śmieszną, że rzucała plamę na jego siwe włosy, na życie dotąd bez skazy, że mogła mu odebrać to jedno co zdobył przez ciąg lat pięćdziesięciu kilku — szacunek swoich najbliższych... Wiedział o tém, a przecie kochał... Szaleństwo to było nieuleczone, a jednak nie łudził się wcale: czuł, że chwila, w któréj powzięłaby o niém choćby najlżejsze podejrzenie, byłaby ostatnią chwilą jéj szacunku i przyjaźni dla niego... Postępowanie jego zadawało kłam całemu życiu... Czytał na twarzach członków rodziny zmniejszenie szacunku... Szaleństwa upadlają starca....

Podobnych sprzeczności w spowiedzi rozkochanego starca niemało.

Nieraz dziwiliśmy się, jak blade z pod niewieściego pióra autorki wychodzą typy kobiece. Bohaterką powieści jest pani Nasielska, młoda wdowa i matka. Z opowiadania jéj o sobie dowiadujemy się, że urodziła się na deskach teatru, kochała się w pierwszym tenorze, zdradę jego przypłaciła śmiertelną chorobą, wpół martwa oddała rękę bogatemu starcowi, odziedziczyła po nim zrujnowany majątek, nareszcie wróciła do Warszawy dla wychowania dzieci. Przedtem jednak poznała była w Wiedniu jakiegoś p. Stanisława, starego mędrca, który nauczył ją znosić życie i znaleźć szczęście w ukochaniu dobra i piękna. Postać pani Nasielskiéj, którą autorka usiłowała uczynić niepospolitą i sympatyczną, jest najzupełniéj bezbarwna. W ciągu całego opowiadania piękna ta pani ani domyśla się, że ma obok siebie dwa wulkaniczne, rozmiłowane w niéj serca (starego rzeźbiarza i młodego studenta). Nieporównana naiwność ze strony wdowy i córki paryzkiéj śpiewaczki!... Nie pojmujemy dla czego autorka dała jéj światową sławę wietrznicy, mającéj na swoje skinienie roje wielbicieli, którzy bija się o najmniejszą jéj zachciankę. Jest to raczéj uosobiona powaga przemawiająca nie inaczéj jak tylko pięknemi ogólnikami, np. „Ja lubię prawdę i piękno... Spoglądam w ciszę mego ducha i czuję się szczęśliwą.... Małżeństwo bez miłości to społeczna zbrodnia...” i t. d. Często deklamacye te bywają niewczesne i niezręczne. Czy można np. do 6-cioletniego dziecka przemawiać w te słowa: „Piękno — to ład i harmonia rozlana wszędzie na świecie... Piękném jest to co doskonale odpowiada przeznaczeniu swojemu. Prawdziwa piękność kwiatu odkryje ci się wówczas dopiero, gdy poznasz, że te świetne płatki służą tylko za osłonę jego istoty, gdy dowiesz się jakie pierwiastki wyciąga on z gruntu, z powietrza, co im oddaje, jakim prawom podlega zarówno źdźbło trawy przykute korzeniem do ziemi, jak człowiek rządzący światem (?).... Nauka jest jak mikroskop ducha...” i t. d. Pod koniec dopiero ożywia się trochę ten posąg. Pigmalionem jego był młody student, który aż do pojedynku odbytego w obronie dobrego imienia swéj Galatei niczém nie zdradza ognistéj miłości dla niéj, choć nie przestaje być zmorą dla starego i zazdrosnego

rzeźbiarza. Raz tylko w przeddzień pojedynku drgnęło serce pani Nasielskiéj, — w opisie jednak téj chwili nie dostrzegamy zbyt wielkiéj subtelności: „Oczy jego miały taką siłę, że raz młoda kobieta pochylona w inną stronę, oblała się pod ich spojrzeniem szkarłatnym rumieńcem, chociaż nawet dostrzedz ich nie mogła... Są indywidualności tak wysokie, iż narzucają się niejako. Są namiętności, które zdają się drżeć w powietrzu, mieszać się z oddechem i tworzyć koło istoty ukochanéj atmosferę płomienną.... Siadła przy fortepianie... Z pod jéj palców wypłynęły tony drżące, ciche, namiętne... Nagle odwróciła głowę niby przyciągnięta magnetyczną siłą. Oczy ich skrzyżowały się wśród ciszy; była to zamiana błyskawic. Uczuła namiętność płonącą przy niéj i odpowiedziała na nią trwogą i rumieńcem...." Teraz już czytelnik nie wątpi, że nie woda, lecz krew płynęła w żyłach p. Nasielskiéj. Pojedynek, którego przypadkowym świadkiem była pani Irena, i niebezpieczne zranienie Gustawa ostatecznie zbliża wdowę z młodym studentem; pomimo to Gustaw tak samo milcząco schodzi ze sceny, jak przebył na niéj w ciągu akcyi całéj.

Podrzędne osoby powieści naszkicowane są lepiéj, choć nie bez ważnych usterków. Tak np. samolubna matka Gustawa nie mogła w chwili dowiedzenia się o ranie syna pomyśleć najprzód o sobie. W ogólności charakter téj kobiety odmalowany jest za jaskrawo.

Żona rzeźbiarza, pomimo woli autorki wydaje się czytelnikowi postacią dość sympatyczną,— mówimy *pomimo woli*, gdyż autorka najwięcéj pragnie zainteresować nas chorobliwém uczuciem męża i oddaje mu na pastwę biedną kobietę. Piękność, powiada, była jéj największą zaletą, specyalnością niejako. Kobieta ta robiła nań wrażenie zbrukanéj lalki. Może w tém właśnie leżała przyczyna tajemniczych smutków i marzeń, które tak niewcześnie trapiły stare jego serce.... Zmarnowali lata młodości, nie starając się zespolić sercem i myślą. Samotnego porwała burza namiętności i unosiła nieubłaganie w przepaść nieszczęścia i szału. A jednak zbrukana owa lalka w jedynym wypadku, kiedy występuje na scenę, przemawia poczciwie i rozrzewniająco.

Najlepszą postacią w całéj powieści jest Oleś, młody portrecista, typ pustaka i samochwała, ujęty w całéj prawdzie i w charakterze miejscowym. Autorka ukarała go raną odniesioną w pojedynku z Gustawem i śmiertelną dla piękności malarza.

Nie będziemy podejmowali drobniejszych niewłaściwości, popełnionych w charakterystyce osób i w żółwiém ciągnieniu akcyi. Dla przykładu przytoczmy fakt, że *szlachetny* bohater trzy razy podsłuchuje w ciągu powieści: raz w Wilanowie, drugi raz w domu pani Nasielskiéj, a po raz trzeci pod drzwiami mieszkania Gustawa. Rozmowa rzeźbiarza z synem jest również dziwaczna. Do najlepszych ustępów należy opis pojedynku.

Styl w Nemezydzie jest staranniejszy niż w Bożku-Milionie, choć wszędzie dają się czuć wysilenia trudnego tworzenia. Rażą też niektóre formy językowe nie polskie, np. *czysta niewdzięczność, być w prawie swojém, grube rysy wystawione na pokuszenie* (?) i t. d.

I jakiż jest sens moralny powieści pani M.?— Formułuje go ów mędrzec z Wiednia, który przyjeżdża do Warszawy dla odwiedzenia pani Nasielskiéj i starego rzeźbiarza: „Niech każdy dzień tylko przyniesie nową cząstkę wiedzy; niech każdy wywoła myśl zdrową i czyn z myślą zgodny, a umysł dojrzeje na równi z ciałem, bo nie przeniewierzy się nieubłaganemu prawu bytu — rozwojowi. Tyś zestarzał się przypadkiem, napoły, nastąpiło wewnętrzne rozłamanie, dysharmonia pomiędzy życiem wewnętrzném i zewnętrzném, i spełniła się na tobie Nemezys.".

Myśl zaiste zdrowa i zacna. Wyrażona zwięźléj, brzmiałaby: potrzeba mieć rozum na starość.

Żegnamy się z utworami pani M. ogólną uwagą: że wadą ich jest brak prawdziwego ciepła serdecznego, niedostateczna znajomość życia i ludzi, konwencyonalność, ubieganie się o effekta, oraz popęd do drobiazgowéj analizy drobniutkich, najczęściéj urojonych objawów życia wewnętrznego. Autorka usiłując być zawsze głęboką, mija się z istotną treścią bytu, z rzeczywistością pełną bolów, łez i uśmiechów, zrozumiałych zarówno dla mędrca jak i dla prostaczka. Ztąd ustawiczne wytężenie i zimno panujące w powieściach szanownéj autorki. Każdy pisarz, każdy artysta powinien pamiętać, że jedynem słońcem ogrzewającém świat sztuki jest prawda. *(d. c. n.)*

KOŚCIÓŁ W LĘDZIE

I MALOWIDŁA W KAPLICY PRZY KOŚCIELE.

Dojdziemy bezwątpienia wkrótce do możności monograficznego obrabiania pomników sztuki wieków ubiegłych; możliwém stać się to może atoli wtedy dopiero kiedy postrzeżenia nasze, czy cudze, poddawać poczniemy ścisłéj krytyce, kiedy należyty zbiór krytycznie obrobionych wzmianek i notat utworzy podstawę dość silną, aby na niéj ostateczne wnioski zbudować się dały. Sprobujmy krytyczném zestawieniem wiadomości o postawieniu i ozdobieniu wewnętrzném kościoła w Lędzie położyć jedną niewielką cegiełkę do przyszłéj monografii tego znakomitego budynku.

Dzisiejszy stan kościoła tego zawdzięczamy gruntownemu odnowieniu onego uskutecznionemu ze składek publicznych pomiędzy latami 1850—1852. Było to już drugie odnowienie, pierwsze bowiem bez porównania znaczniejsze nastąpiło sto lat wprzód za cysterskiego jeszcze opata Mikołaja Łukomskiego w roku 1743 jego kosztem, a miało niem być wystawienie całego kościoła (z wyłączeniem staréj kaplicy krużganków i kapitularza) od fundamentów *). Autor téj wiadomości musiał zapewne mieć w ręku dokumenta dotyczące tego wybudowania czy odbudowania, niepodobna bowiem aby twierdził bez nich z niezachwianą pewnością. Wiadomości rzucające wątpliwość na tę datę, i na dwa fakta z nią złączone, są następujące: że dalsza część kościoła nie jest tynkowana i że wieże są od strony presbiteryum, co się miało stać skutkiem dobudowania kopuły; jeżeli bowiem nie ma stanowczo popierających te przemiany dowodów to sposób budowania i umieszczenie herbu Łukomskiego nad drzwiami i na wieży świadczyć mógłby tylko o nadmurowaniu przez niego wyższego piętra kościoła i wież, o pokryciu tych ostatnich blachą i o przebudowie facyaty. Domniemanie to opartémby było na dwóch wskazówkach niemylnych dotyczących struktury kościołów téj dawności, do jakiéj należy erekcya cysterska Mieczysława Starego z roku 1145 w Lędzie, to jest iż w sto i w dwieście prawie lat po téj dacie kościoły miewały wieże od strony części kapłańskiéj i że do wieku XVII jeszcze wszystkie były stawiane bez tynku,— a ztąd wypadałoby, że ta cała dolna część kościoła jest już bardzo dawną, jak to i sam plan jéj krzyżowy, cysterskim obyczajem ułożony świadczyćby mógł.

Na tę myśl naprowadzają jeszcze nieproporcyonalne rozmiary i ozdobność krużganków i kapitularza, stosunkowo do pierwotnéj małéj najstarożytniejszéj budowy Mieczysławowéj, którą jest kaplica o jedném oknie ostrołukowém.

Funduszów na powiększenie pierwotnéj erekcyi mogło opatom Lędu nie brakować w pierwszych już wiekach istnienienia opactwa, dowodem na to są herby **) dobrodziejów klasztoru dawnym zwyczajem umieszczane na kluczach czyli zwornikach sklepień krużganków, gdzie tu znajdujemy Bogoryę zapewne albo tego, który w roku 1184 ufundował ogromne opactwo cysterskie w sąsiedztwie swéj rodzinnéj siedziby w Koprzywnicy, lub którego z jego pobożnych spadkobierców. Rodziny Godziembów, Jastrzębców i Grzymałów należały do najzamożniejszych w tych stronach.

Z notaty K. Stronczyńskiego, zamieszczonéj w Wiadomościach o sztukach pięknych w dawnéj Polsce, F. M. Sobieszczańskiego w Tomie I na str. 254 i 301, dowiadujemy się, że krużganki, o których mowa, w jednéj części są stylu tak nazwanego gotyckiego czyli ostrołukowego i zdają się pochodzić z pierwszéj połowy XIII wieku; po drugiéj zaś stronie sklepienia mają być w stylu *bizantyńskim*, jak twierdzi notatka, a więc sięgającym czasów Mieszka Starego.

Zgodzić się można najzupełniéj na te twierdzenia z wyjątkiem stylu *bizantyńskiego*, który to wyraz zapewne zakradł się przez podobieństwo stylu tego do romańskiego. Pierwszy nie da się usprawiedliwić niczém, drugi zaś samą epoką, wieku XII i pochodzeniem pierwszych opatów z Kolonii; bizantyński styl mógłby zdarzyć się i zdarza się istotnie w kraju naszym tam tylko gdzie pierwsi opaci klasztorni przynieść go z sobą mogli, jak to widzimy w budowie portalu b. dominikańskiego kościoła Ś-go Jakóba w Sandomierzu obsadzonego pierwotnie przez mnichów hiszpańskich.

Krużganki, kapitularz i sama kaplica noszą na sobie cechy najodleglejszéj starożytności, naj zupełniejszéj czystości stylów owych stuleci, są też najciekawszą częścią budowli Lędu, a témbardziéj zajmującą, iż noszą na sobie cechę tożsamości sposobu budowania z wystawionemi dla francuzkich Cystersów przez Bogoryę w Koprzywnicy osadzonych: jak tu tak i tam kapitularza sklepienia skupione są na podobnie słabych na pozór podporach, w Lędzie na jeden, w Koprzywnicy na dwa cienkie kamienne filary; jak tu tak tam w czworobok zabudowane krużganki łączą kapitularz z kościołem; jak tu tak tam budowania te wyraźnie ciągnęły się przez parę wieków, i temiż samemi cechami ozdobności do dziśdnia świetnieją: zwornikami, bogactwem pomysłów i rozmaitością w podporowych kamieniach sklepień krzyżowych i malowidłami freskowemi na ścianach pochodzącemi z XIII lub XIV wieku.

(Dalszy ciąg w dodatku).

*) Tygodnik Illustr. r. 1862 Nr. 144. Przy wyobrażeniu zewnętrznego widoku klasztoru.

**) *Wzory sztuki średniowiecznéj* L. 1 wymieniają herby Poraj, Grzymała, Lewart, Wieniawa, Godziemba. *Tygod. Illustr.* r. 1862 Nr. 144, dodaje, Niesobia, Bogorya, Korczak, Jastrzębiec.

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 11-go.

W wzorach sztuki średniowiecznéj z których wyjęliśmy część malowideł freskowych znajdujących się na ścianie kaplicy w Lędzie rzucone zostało pytanie, czy postać rycerza klęczącego i podającego Ś-mu Mikołajowi wyobrażenie kościołka, nie jest wyobrażeniem pierwszego założyciela klasztoru Mieszka Starego; pytanie na które najprzezorniejsza krytyka nie może inaczéj odpowiedzieć jak tylko twierdząco. Twierdzenie zaś oprzéć można stanowczo na następujących i stale powtarzających się cechach tego rodzaju wyobrażeń i wszędzie, gdzie czy to na malowidle, czy na kamiennéj lub bronzowéj tablicy eregcyjnéj wyobrażony jest fundator, stale usiłowano sportretować go. Obraz zaś freskowy który mamy przed sobą jest właśnie takiem wyobrażeniem eregcyjném, jak zaś dalsze wiernym okazuje się w treści swojéj niech za dowód posłuży to, że do dziś dnia owa o jedném oknie kaplica którą widzimy na ręku fundatora, istnieje z temże samém jedém okném, a budową swą i bezpośrednią łącznością z budowlą klasztorną świadczy o swéj pierwotnéj nierozerwalnéj z nią całości.

Jeszcze słowo o samych malowidłach na ścianach kaplicy. Trzy ściany pokryte są starożytnemi malowidłami pochodzącemi z początku XIV wieku na jednéj wymalowane jest *Boże narodzenie*, i *przybycie trzech królów do szopki Betleemskiéj*, na drugiéj i na sklepieniu *Sąd ostateczny*, na trzeciéj i pod samém sklepieniem ligi mądrych dziewic z lampami,... a w dolnéj połowie wyobrażenie którego część podajemy, na pozostałéj części mieszczą się jeszcze dwie mądre dziewice nad niemi święty wskazujący im drogę, w dalszéj zaś części brakującéj tu, herby Mieczysława Starego; w odpowiedniém miejscu do herbu *niesobia* odpowiadającego zapewne rycerzowi w hełmie z pióropuszem i opat wraz mnichami przyjmujący nadanie.

Styl malowidła nie pozostawia wątpliwości co do epoki z któréj pochodzi, a mimo widoczne zniszczenia i odnawiania, głowa i postać anioła towarzyszącego mądrym dziewicom daje nam świadectwo o wysokim jak na owe czasy stopniu doskonałości wykonania, wdzięk jaki tu jest rozlany przypomina tę prostotę i piękność zarysów które Giotto i jego następcy rozwinęli w świetny zakwit religijnego malarstwa.

Nie można tu także pominąć ważności tych malowideł ze względu na skazówki jakie dają co do ubiorów owoczesnych.

Malowidła w kopule przedstawiające wypadki z życia Ś-go Bernarda patrona Cystersów wykonane jednocześnie z doprowadzeniem do obecnego całokształtu téj wspaniałéj budowli, to jest w drugiéj połowie zeszłego wieku,—nieodznaczają się one oryginalnością pomysłu poszły, bowiem torem przyjętym w owych czasach i otworzyły widzowi nad głową niebo zapełnione świętemi postaciami.

ZARYSY OKOLICY
nad Niewiażą.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 10.)

Moralność tutejszego ludu w całém tego słowa znaczeniu wzorowa. Powoli jednak zaczyna się tu zagnieżdżać wada, a raczéj nałóg, tém trudniejszy do wykorzenienia, że wyższe klassy społeczeństwa nic nagannego w nim nie widzą. Nałogiem tym jest gra w karty, przeradzająca się bardzo często w prawdziwą szulerkę. Od panów nauczyła się jéj dworska czeladź, od téj gra przeszła do parobków i wiejskich gospodarzy. Nie powiemy, aby we wszystkich okolicach kraju nieszczęśliwa ta namiętność była upowszechnioną, ani też żeby wszyscy bez wyjątku jéj się oddawali; ale to pewna, że są miejscowości, o których możnaby powiedziéć że są zarażone karciarstwem.

Znamy jednę taką miejscowość zamieszkaną przeważnie przez drobnych obywateli ziemskich i szlachtę zaściankową. Otóż wątpimy czyliby się tu znalazło choć jedno dziecko pięcioletnie, któreby przynajmniéj w kiksa grać nie umiało. Grają tu wszyscy, grają zawsze i wszędzie: gra właściciel ziemski wydając ekonomowi rozporządzenia, gra jego połowica, zapomniawszy o niemowlęciu co u jéj piersi spoczywa, grają podrostki synowie w szkolnych mundurkach, grają dorodne córki ze swymi wielbicielami, grają domowi i goście, gra służba i czeladź, grają nawet starozakonni krawcy, szyjący w izbie czeladnéj wyprawę dla najstarszego panicza, który właśnie wyjeżdża do rodziców narzeczonéj na partyjkę preferansa.

Przyjeżdżając po raz pierwszy do takiego domu, dziwnych zaiste doznaje się wrażeń. Ledwie wjedziesz przez bramę, a już przez napół roztwarte drzwi wozowni widzisz kilku fornalów i stangretów z zajęciem grających w karty; odwracasz głowę z niezadowoleniem w drugą stronę i dostrzegasz pod parkanem na półnagie folwarczne dzieci bawiące się kilku zatłuszczonemi kartami; wysiadasz z powozu, aliści na ganku wita cię czereda dziatwy domowéj, pozostawiwszy na ławce nie dograną partyę; w sieniach spotyka cię brudny sługa, skwapliwie ukrywający w kieszeni talię kart, którémi grał ze swoimi towarzyszami. Wchodzisz do pierwszego pokoju — tu w atmosferze cygarowego dymu tonie poważne grono sąsiadów oblegające stolik zielony. Uciekasz do dalszych pokojów, ztąd dolatują dźwięki fortepianu.

— Tu przynajmniéj, myślisz sobie, odetchnę swobodną piersią... Niestety! i tu stół zielony, i tu karty; tylko pomiędzy grającymi więcéj wesela, mniéj chciwości, więcéj rozmów i śmiechów, mniéj przemówek i owych monotonnych, jedynie sferze zielonych stołów właściwych wykrzykników.

Wiele tu jest domów, w których karciarstwo nie ustaje prawie ani na chwilę; są osoby (a płeć tu żadnego wyjątku nie stanowi), które za zielonem stolikiem po całéj dobie i więcéj bez przerwy przesiedzieć są zdolne.

Lecz jeżeli w domach obywatelskich przynajmniéj uczciwość grający zachowują, jarmarki za to roją się wszelkiego rodzaju szulerami, którzy nieraz niesłychanych nadużyć się dopuszczają. Stanowią oni zupełnie odrębną klasę ludzi, klasę, któréj gdzie indziéj nie udało się nam spotkać. Szuler taki rekrutuje się z rozmaitych warstw społeczeństwa, mieszka tam tylko gdzie się jarmark odbywa, żyje z kart, dziś paraduje w wiedeńskim koczyku, a jutro piechotą szuka szczęścia po świecie; słowem jest to żyd wieczny tułacz, lubo opinia publiczna jeszcze gorsze mu epiteta nadaje.

Ze wstrętem jednak od wracamy obliczeod tego smutnego obrazu; ze wstrętem tém większym, że piękna ta kraina dostarcza mnóstwa przecudnych obrazów, od których oka oderwać nie można. Karciarstwo jest tu jedną z takich plam, których nawet i na słońcu dopatrzyć można. Zresztą, powiedzieliśmy wyżéj, że tylko w niektórych miejscowościach grze tak namiętnie się oddają w innych, karty zaledwie są znane.

W takich to zacnych domach obok biblioteki, z doborowych nieraz dzieł złożonéj, znaleźć można przynajmniej jedno z pism czasowych, że nie wspomnę już o fortepianie. Tradycyjna gościnność utrzymuje się tu w całéj pierwotnéj sile, a gospodarze nie mający téj cnoty, uchodzą za godnych pogardy ludzi, których każdy z daleka omija. Gość w dom, Bóg w dom! za jego przybyciem rzekłbyś, że się dom rozszerzył, że po nad domownikami przeleciał duch wesela, że gościnność wyrugowała wszelkie inne myśli, starania i kłopoty. Co jest najlepszego w śpiżarni i piwnicy, na jego użytek idzie. Gość jednak, wstępując w progi uprzejmego domu, nie jest wolny od pewnego względem gospodarzy zobowiązania. Zobowiązanie to wyda się zapewne dla wielu bardzo przyjemném, ale—nie dla wszystkich. Domyślicie się czytelnicy, że mowa tu o jedzeniu, czyli raczéj, o nieubłaganéj powinności jedzenia wszystkiego co podają i kiedy podają. Biedne szczęki, zęby i żołądek są tu nieustannie zajęte, a że te podwójne śniadania, obiady, poobiedzia, herbaty, podwieczorki i wieczerze, nie przyprawiają o chorobę lub śmierć, to już widoczna łaska opatrzności i skutek wiejskiego powietrza.

Podróż po tych okolicach, jeżeli nie należy do najwygodniejszych, to niewątpliwie jest najbezpieczniejszą, a powiem nawet jedną z najprzyjemniejszych, nadewszystko podróż latem. Lasy tu przeważnie liściaste, ale jakież lasy! Najpiękniejszy ogród nie dorówna przecudnym odcieniom zieleni rozmaitego rodzaju drzew, których balsam napawa duszę niewysłowioną jakąś słodyczą. A cóż dopiero gdy wjedziesz do saméj dąbrowy! Najśmielsza wyobraźnia poety musi umilknąć, w obec tych cudów, jakie się w każdéj dąbrowie mieszczą. Prawdziwie długi pobyt wśród téj ciszy uroczéj, wśród téj woni balsamicznéj, wśród tego szeptu stuletnich olbrzymów, jest trochę niebezpieczny!... Mimowoli przypomina się paradoksalna rada Jana Jakóba Rousseau: „Pójdźcie do lasów, a zostaniecie ludźmi."

Nie tak to dawne czasy gdy prawowierny Żmujdzin wcale innego rodzaju trwogi doznawał, znalazłszy się w ciemnym a gęstym lesie. Nie tyle go może straszyła obawa spotkania się z jaką nimfą leśną (Medżaima) lub wilkołakiem, ile raczéj z dwunastu tradycyjnymi zbójcami, o których lud dotąd dziwy opowiada. W tych opowieściach pierwsze bez wątpienia zajmuje miejsce *Raudonokrutinis*, o którymby pewno cała Europa od dawna wiedziała, gdyby Żmujdź miała szczęście leżeć gdzieś u podnóża Alp, Apeninów lub Pirenejów. *Raudonokrutinis* (co po polsku daloby się przetłomaczyć: Człowiek o czerwonéj piersi, od kamizelki tego koloru, którą zawsze nosił), jest to rozbójnik bohater, i równéj sławy na Litwie używa, jak we Włoszech: Fra-Diavolo lub Rinaldo-Rynaldini. Podług podań miejscowych miał on żyć jeszcze przed niewielu laty, a teatrem jego czynów były powiaty szawelski, rasieński i poniewiezki.—Chroniąc się przed poborem do wojska, umknął do lasu, i tu stanął po niejakim czasie na czele nader licznéj bandy. Odtąd imię jego rozgłosiło się po wszystkich zakątkach gubernii Kowieńskiéj, roznosząc wszędy trwogę a zarazem podziw, — dla niezwykłéj siły bandyty, który kilkakrotnie potrafił się oswobodzić z rąk sprawiedliwości. Dotąd panuje wiara, że żadna siła ludzka nie mogła mu podołać. Żelazne kajdany rozrywał jak nici, a najtęższe powrozy były dlań wiotką pajęczyną, którą rwał bez najmniejszego wysiłku. Gdyby chciał, nigdyby go w życiu nie ujęto; niekiedy jednak znudzony jednostajném życiem leśném, pozwalał się jak dziecko okuć w kajdany i ze wszelkiemi ostrożnościami prowadzić do kowieńskiego więzienia. Biada jednak śmiałkom, którzyby takiemu spokojowi ośmielili się zaufać! Gdy Raudonokrutinis powiedział sobie: pójdę, — żadna siła nie mogła go powstrzymać, i miał się ten z pyszna, kto się mu ośmielił wejść w drogę. Zamknięty w lochu, jednem uderzeniem pięści wysa-

dział drzwi, a rozpędziwszy szyldwachów, bezbronny powoli przechodził przez miasto, kupował po drodze co mu było potrzeba i wracał do lasów i swoich towarzyszy. Próbowano go nieraz zastrzelić, ale czyżby on był tak dalece głupi, żeby zawczasu nie zamówił wszystkich strzelb i karabinów, albo przez znane niektórym ludziom środki, nie uczynił ciała swego niedostępném dla wszelkich kul i pocisków?

Tak się maluje Raudanokrutinis w obrazie ludowego podania. Znając język miejscowy, a nadewszystko mieszkając stale na Żmudzi, łatwoby było zebrać rozproszone podania o téj na pół rzeczywistéj, na pół mistycznéj postaci, którą mogłaby urozmaicić nie jednę powieść, na tle tutejszych stosunków osnutą. Ale rzekłbyś jakaś klątwa cięży nad tą piękną krainą, do któréj jakby wstręt jakiś czują panowie powieściopisarze. A jednak tu może obszerniejsze niż gdzie indziéj znalazłoby się pole do roztaczania powieści obyczajowéj. Obok prawdziwego wykształcenia i wielkiego zasobu cnot, spotykamy tu, i przesądną ciemnotę, całą naiwność ludowéj poezyi, nie napotykaną nigdzie indziéj oryginalność charakterów i wreszcie odmienne niż w innych miejscowościach stosunki. Słowem jest to w całem tego wyrazu znaczeniu *terra incognita*, o któréj dla tego tylko tak mało piszą, że obcy jéj nie znają, a swoi nie chcą, czy też lenią się wziąść do pióra.

Lud ma tu swoje, szlachta swoje podania. Raudanokrutinis jest przeważnie bohaterem ludowych podań; ze szlacheckich wymienimy tu znane w całéj Żmujdzi anegdoty o panu K..... zamożnym obywatelu ziemskim, o którego oryginalnych, acz nieszkodliwych wybrykach dziwy opowiadają.

Zdarzało się nieraz, że pan K.... oznajmia jakiemu sąsiadowi, że odwiedzi go po obiedzie, ale dodaje pod koniec listu: „Niech się Waszmość zaopatrzy w siano dla moich koników."

— Co u licha, myśli sobie sąsiad, czyż mu się zdaje że mi brak siana dla jego koni? Niech sobie zajeżdża choćby poszóstną karetą.

Już słońce ma się ku zachodowi, gdy oczekujący przybycia gościa obywatel, stojąc na ganku słyszy trzaskanie z bicza, poczém wpada przez bramę koń w uprzęży, a na nim foryś wywijający potężnym biczem, a za tym koniem drugi, potem trzeci, czwarty i t. d. A każdy koń połączony uprzężą z następnym, a co trzy lub cztery konie foryś trzaskający z bicza i to wszystko w największym porządku defiluje po dziedzińcu przed gankiem, w obec domowników i zdziwionego gospodarza, który wreszcie i liczbę stracił, i domyślając się figla nie wiedział czy śmiać się, czy gniewać na oryginalnego sąsiada. Gdy wreszcie kilkadziesiąt koni przemknęło przez bramę, wsunęła się na końcu maluchna bryczka, podobno nawet bieda, a w niéj pokorniuchny, z miną zbiedzoną pan K., któregoby wziąść można za ekonoma, starającego się o służbę.

Nie mniéj oryginalnie wjeżdżał pan K. do sąsiednich miasteczek na odpust lub jarmark. Jedna za drugą sunęły się do miasta trzy ciężkie karoce ze służbą ugalonowaną i w liberyi dobrze znanéj wszystkim faktorom w promieniu kilkunastu mil od dóbr pana K. To też ledwie powozy wtoczyły się na błotniste ulice miasteczka, wnet ze wszech stron oblegli pierwszy z nich faktorzy meklerzy, przekupnie i wszelkiego rodzaju przemyślni synowie Izraela. Oddawszy z daleka czołobitność koniom, służbie i karecie, wychwalając i zapraszając do domów zajezdnych, przez się protegowanych, zbliżali się wreszcie do karety tak, że mogli przez szklane drzwiczki zajrzeć do wnętrza. Gwałtu! co to takiego? pan K... zupełnie do siebie nie podobny. Zamiast dobrzéj znanéj sobie postaci widzą — ni mniéj ni więcéj jak straszną głowę buldoga, co siedząc na miękkich poduszkach, tak zęby wyszczerzył, że ani myśleć o jakichkolwiek rokowaniach. Odstępują tedy zdziwieni od niegrzecznéj karety, i z nowemi oznakami czołobitności, zbliżają się do następnéj. Lecz o zgrozo! W karecie siedzi z miną gapiowatą biedna pachciarka pana K... z trojgiem oszarpanych dzieciaków. Gdy zniechęceni faktorowie z nieufnością poglądają na trzecią i ostatnią karetę i nic sobie dobrego z niéj nie rokują, ile że okna zasłonione nieprzejrzystemi firankami nie pozwalają zajrzeć wewnątrz, powozy wjeżdżają do zamówionéj już dnia poprzedniego austerji, a z tajemniczéj karety wysiada pan K... we własnéj osobie.

Okolice leżące nad Niewiażą, i z innych względów zasługują na bardziéj szczegółowy opis. Krajobrazy tutéjsze nie tylko odznaczają się właściwym wdziękiem i powabem, ale nie brak im nawet pewnéj oryginalności. Przeważną ich cechę stanowią liściaste gaje, przezroczyste jak kryształ rzeki, ciche strumienie spokojnie wijące się wśród uśmiechniętych dolin i różnobarwne łany, falującém się pokryte zbożem. W ogóle, główném znamieniem okolic tutejszych—jest spokój, wdzięk i prostota. *M. K.*

KARTKA

DO DZIEJÓW PAREMIOGRAFII POLSKIEJ.

P. Aleksander Weryha - Darowski, jedyny paremiograf polski, opracowujący przysłowia i przypowieści nasze z odpowiednim zasobem erudycyi i krytyki naukowéj, wykończył ostatniemi czasy dwa dzieła, o których bliższa wiadomość pożądana będzie dla ogółu czytelników.

Pierwszém z dzieł pomienionych jest krytyczne opracowanie przypowieści Salomona Rysińskiego, którego niepospolite znaczenie w historyi literatury naszéj dziwnie zapoznane zostało przez nowszych pisarzy i kompilatorów. Dostatecznym tego dowodem jest niedarowane i absolutne milczenie o przypowieściach S. Rysińskiego (jakoteż o *Adagiach* Knapskiego) w Historyi Literatury Polskiéj Leona Rogalskiego. Wielka szkoda że p. Darowski, podjąwszy się i dokonawszy ważnéj swéj pracy, wyrzekł się ostatecznie zamiaru ogłoszenia takowéj drukiem. Przynajmniéj sam mówi o tém w następujących słowach.

„Straciwszy niemało czasu nad przygotowaniem nowego wydania przypowieści S. Rysińskiego, przekonałem się że bez oryginalnéj edycyi żadną miarą obejść się nie można. Niedbałe przedruki jedne przypowieści uroniły, a drugie błędy nieuważnych zecerów zaciemniły do niezrozumiałości.

„Kiedym od zamiaru odstąpił, raptularz który mi posługiwał do roboty przepisać kazałem, i rękopism ten złożę w publicznym zakładzie imienia Ossolińskich. Przyszłemu wydawcy ułatwi to zmudną a wyrobniczą pracę; znajdzie w nim przypowieści uporządkowane i porównane z *Adagiami* Knapskiego, co mu już niemało mozołu oszczędzi.

„Oprócz przypowieści raptularz zawierał liczne a różnorodne notaty z mnóstwem luźnych szczegółów rozmaitéj wartości co do znaczenia, a mniéj lub więcéj obrobionych co do formy, z których piąte przez dziesiąte wybrać się dały i wcielić do rękopismu. Przyszłemu wydawcy równie przygodzić się mogą. Są tam poprawki starych pomyłek, ciekawostki obyczajowe i historyczne, są nareszcie uwagi krytyczne obok zaczepek polemicznych, ale w tém wszystkiém, jako w rzeczy niedokończonéj, niech żadnego systematu nie szuka, gdyż go nieznajdzie. Ilość i jakość użytego materyału do tych notat same mówią za niemi i stanowią bodaj względną rękojmię ich wartości, o któréj zresztą ani sądzić ani rozprawiać nie do mnie należy.

„Zmieniłem dawny podział przypowieści—centurye i dekady—zastępując go porządkowém liczbowaniem od pierwszéj do ostatniéj i zostawiając umyślnie te które znalazły się dwa razy zapisanemi (wszystkich 13), w czém poszedłém za przykładem wydawcy zbioru Komeniusza, p. t. *Mądrość starych przodków za zwierciadło wystawiona potomkom* (Biblioteka starożytna czeska, t. III. Praga, 1849).“

Z uprzejmie udzielonego nam przez autora sporego ustępu jego pracy podajemy czytelnikom wyborny szkic, zastępujący przedmowę, oraz kilkanaście przypowieści łącznie z przypiskami p. Darowskiego.

Historya pierwszego wydania zamiast przedmowy.

Zanim Franciszek Cezary kupił dom od Rożyców naprzeciw Wielkiego Kolegium i do niego przeniósł swoję drukarnią w r. 1618, mieścił się jeszcze ze swoim zakładem w tyłach kamienicy pod *Wywiórką* i tam druk *Skarbca Knapskiego* rozpoczął.

W początku XVII wieku sztuka drukarska była połączona z wielu trudnościami. Znaczny koszt, przy drożyźnie pieniędzy, i niedostatek uzdolnionéj czeladzi, wydanie każdego większego dzieła podnosił w porządku dziennym do wysokości dziejowego wypadku.

Tak było ze *Skarbcem*, którego znaczenie u opinii publicznéj zwiększali jeszcze wydawcy O. O. Jezuici. W pogłoskach brukowych, ledwie rozpoczęty, miał być na ukończeniu. Egzemplarz *princeps* na oślim welinie, w deszczułkach z cedrowego drzewa obleczonych barchatem [1]), ze srebrnemi narożnikami i klamrami, zgromadzenie przeznaczało dla Króla J. M. przy powinszowaniu nowego lata 1619.

W połowie września *quidam* Winandy Koralis w jakichściś sprawach zjechał do Krakowa. Jako człowieka ukształconego obchodziły go nowinki księgarskie, między któremi zasłyszał, że ów *Skarbiec* Knapskiego ma mieć w sobie polskie przypowieści, albo *Adagia* w pilnym zbiorze.

Koralis miał przyjaciela Salomona Rysińskiego, o którym wiedział że z dawien dawna zbierał przypowieści; tymczasém *pater* Jezuita uprzedzał spółwiercę predykanta helweckiego.

Załatwiwszy się w Krakowie pospieszył do Wilna, i tam nastawał na Rysińskiego, ażeby nieomieszkanie dał do druku swoje przypowieści: inaczéj, z wyjściem *Adagiów* Knapskiego, stracą swoje znaczenie, a on zasługę ich zbioru.

Salomon Rysiński był to mąż uczony z zamiłowania a nie z rzemiosła, oddany obowiązkom swego stanu; czas zbywający od nich poświęcał poezyi i muzyce. Z umysłem wrażliwym i bystrym, uderzyła go różnobarwność myśli i oryginalność formy polskich przypowieści, i te spisywał pilnie, ale bez żadnego naprzód wytkniętego planu, dla własnéj ciekawości i przyjemności. Nie chciał drukować rękopismu, ale biorąc wiadomość o *Adagiach* Knapskiego za fakt dokonany, darował go na własność przyjacielowi z nadpisem:

Vinando Coralio
Amico non vulgo
Vilnae, prapridie lal. Nov.
S. R.

Był to niewielki zeszyt, w małéj ćwiartce żółtawego papieru, drobném pismém zapisany. Przypowieści cieśniły się w nim jedna pod drugą, gdzieniegdzie pobok stały dopiski łacińskie z abrewiacyami, które razem przedstawiały dla oka jakąś gęstwinę nieczytelnych hieroglifów,

[1]) Oprawnych w aksamit.

a przy niéj tu i owdzie znajdowały się stronnice niedopisane lub zupełnie próżne; brzegi kartek w nierównych przedziałach były naklejone obrzynkami cienkiego pargaminu, a na nich głoski porządkiem alfabetu służyły za rodzaj kustoszów dla potrafienia do téj zagwazdanéj kniei, urozmaiconéj polanami.

— „*Te ipse querebam!*" [2]) — wykrzyknął wesoło Koralis, i porwawszy rękopism, wybiegł z nim na miasto.

— „*Quo properas, Vinande? ubi? ubi?*" [3]) — wołał za nim Rysiński, ale ten już był daleko.

Koralis udał się prosto do Blasta Kmity, typografa wileńskiego, ażeby co prędzéj oddać rękopism do druku; ale się to nie zeszło; prassy były zajęte czy wynajęte, i ze strony dyecezyalnéj cenzury przewidywano pewne trudności i konieczną odwłokę. Ale Kmita miał maleńką oficynę w Lubczu, dokąd właśnie wyjeżdżał z urzędnikiem, który był przywiózł na podwodach gospodarskie produkta tamtych okolic. Jakoż w dni kilka wyruszył z czeladnikiem pożyczonym u swego szwagra Józefa Karcana.

Kmita przyrzekł był solennie Koralisowi, że wszelkich starań dołoży, ażeby uśpiał z książeczką przed nowym rokiem. Rachował się ze swoim czasém bez Świąt Bożego Narodzenia z Jasełkami, bez kolendy z wilczą skurą, a szczególniéj bez towarzysza podróży, serdecznego litwina, ktory jak zaczął bonować po miasteczkach, traktować po karczemkach, częstować znajomych i nieznajomych, ledwie pod gody stanął w Lubczu, a co gorsza, owego pożyczonego czeladnika na śmierć zapoił, zmuszając łykać z nim *horylicę* i za siebie i za pryncypała.

Położone na Przypowieściach „*r. 1616, Decembribus horis*" są czystém zmyśleniem. Druk ich rozpoczął się dopiero w styczniu następnego, a ledwie w marcu ukończył, chociaż dla pośpiechu cały nakład z defektami nie doniósł 200 egzemplarzy. Wydanie nie było wcale przedsięwzięciem rachunkowém, ale raczéj posługą przyjacielską, i dla takiéj łatwo da się wyrozumiéć *pia fraus* w położonéj dacie, która zresztą nie zdała się na nic, gdyż zapowiedziany tom *skarbca* wyszedł daleko później, a właściwych *Adagiów* nie dożył Rysiński, zmarły 1626 r.

Co to za ambaje? — pomyślisz sobie, łaskawy czytelniku. Jest to historya prawdziwa, którą sam Blast Kmita opowiedział w długim liście, a ja ją tylko ubarwiłem kilku wiarogodnemi lub zupełnie obojętnemi szczegółami i odtworzyłem cały wypadek w tym kształcie, w jakim się przedstawił mojéj wyobraźni. Przed dziesięciu laty czytałem skrypt Blasta w Rychtach Humieckich; posiadał go w oryginale Konstanty Podwysocki, do którego się dostał w pliku papierów należących niegdyś do Kaweczyńskich: — więc zapewne był pisany do jednego z członków téj litewskiéj rodziny.

Niektóre przypowieści z przypiskami.

1. Aboś nie słyszał kiedy w lisi ogon trąbiono?

Przypowieść o lisim ogonie, w misterną przyodziana parafrazę. Czeska w podobnéj formie, ale do zrozumienia łatwiejsza i znaczenie polskiéj tłómaczy. Z liściho ocasu ne snadno trubu delat (Komeniusz. A. 14 g.)

2. Diabeł Ewę po włosku zwodził, Ewa Adama po czesku, Bóg ich po niemiecku gromił, Anioł zaś po węgiersku z raju wygnał.

Spółczesny Rysińskiego Anglik Howel, przezwany Uciesznym (ur. 1594), w oryginalnym zbiorze p. t. „Nowe dykterya mogące służyć jako przysłowia dla potomności" zapisał bardzo podobną przypowiastkę:

> Adam był kuszon po włosku,
> Prosił o miłosierdzie po francuzku,
> A wygnano go z raju po holendersku,

O Howelu i jego działach zobacz u Duplessis'a (Bibliographie parémiologique. Paryż, 1847, pod Nr. 841.)

3. Dziesięć zbrojnych u jednego nagiego nic nie wezmą.

Przypowieść oryginalnie turecka; zapisali ją w swoich zbiorach M. C. de Mezy (21) i P. Ch. Cahier (2686). *Tysiąc jezdców nie potrafią złupić jednego golca.* Tym golcem jest tak zwany bizun albo turecki święty, których niebyło w dawnéj Polsce, więc nie mógł popaść pod oko, a tém samém do przypowieści.

4. Inszy Król, a insza pani Baranowska.

Dodana w przedruku 1629 r., braknie w oryginalném wydaniu.

Nie mam w obyczaju oglądać się bojaźliwie na krytykę, któréj często dzikiemi moje wnioski wydać się mogą, i dla tego domysłém śmiało odnoszę przypowieść do pamiątki Barbary Radziwiłłówny. Zygmunt Stary dochował krewkość męzką do najpóźniejszego wieku. W r. 1791 Tadeusz Czacki zwiedzając Kraków, odkrył w grobie Zygmunta razem z nim pogrzebionego jego syna; zwłoki spoczywały u nóg ojca w małéj trumience cynowéj z napisem: „*Albertus, Sigismundi I regis Poloniae cum Bona regina infantulus, 1548 una cum parente suo humatus, natus vero A. D. 1547 die 20 Septembris.*" Zygmunt miał natenczas lat 80, Bona przeszło 50 (Bona umarła 1558, mając lat 65)... W liczbie ulubienic króla mogła być jakaś Baranowska... Kiedy więc po śmierci starego króla wynurzyło się małżeństwo Zygmuta Augusta z Radziwiłłówną, któréj za prawą żonę a tém mniéj za królowę uznać nie chciano, zapewne urosła przypowiastka: *Inszy król a insza pani Baranowska*, a pod tą inszą rozumiano Barbarę.

5. Jaje dzisiejsze, chleb wczorajszy, cielę sześćniedzielne, wino łońskie—nalepsze.

Mają podobną Włosi: *Ovo d'un'ora, pane d'un giorno, vino d'un anno, pesce di dieci, donna di quindici e amico di trenta* (Giusti); ale Rysiński zapisał że przypowieść jest flamandzka i przywiódł w tłómaczeniu łacińskiém. Mniejsza zkąd przyszła; to tylko pewna że nie swojska, gdyż smak polski nie byłby poprzestał na winie łońskiém, a węgierskie przeciwnie zalecała długich lat starość aż do zatęchłości pospolicie myszką zwanéj.

6. Łakoma rzecz chróst.

Linde w słowniku dobrze wyłożył przysłowie. *A naszy w chróst*; dobrze dopisał przy niém makaron: *Fugas chrustas*, ale nie zrozumiał drugiego: *Łakoma rzecz chróst*, tłómacząc: „potrzebny wielce w gospodarstwie, wyrywają go z płotów." Uczony filolog nie zastanowił się, na co zeschłe pręcie, wyłamane ze starego płotu i do grodzenia nowego niezdatne, przygodzić się mogło, a byłby łatwo pomiarkował że na nic. Szczegółami których się nie zna wykładać przysłów nie można.

W kuchni polskiéj rodzaj ciasta smażonego, słodkiego, tłustego i kruchego nazywa się chróstem zapewne dla tego, że chrósci w zębach. Wspomina je Gołębiowski w Domach i Dworach (K. 42). To jadło uchodzi za wielki przysmak na Litwie, gdzie Rysiński spisywał przypowieści, i być może przysłowie wzmiankuje o niem.

7. Nie utonie, co ma wisieć.

Ciekawą parafrazę téj przypowieści z rękopismu podał Ambroży Grabowski: *Kogo Pan Bóg ptakom obiecał, w tym ryby nie zagustują.* (Starożytności polskie. Kraków, 1840, t. 1, k. 391).

8. Niewieścia żałoba tylko u pogrzebu.

Przypowieść oryginalnie włoska: *Doglia di marito morto dura fin alla sepoltura* (M. C. de Mery, 77). W Litwie, gdzie Rysiński zbierał przypowieści *ad libitum*, gorzéj albo lepiéj, ale bywało inaczéj, jak o tém świadczy Samuel Maszkiewicz w pamiętnikach pod d. 21 marca 1615 roku.

9. Od złego dłużnika i plewami bierz.

Knapski pod tą przypowieścią przywiodłszy z bajki greckiéj słowo wilka do żórawia, a z dziejów Rzymskich powiedzenie Cycerona do Antoniusza, tak kończy: „Sed polonicum dictum dignum est quod Graeci et Latini usurpent" (Adagia, pag. 774). (*).

— Zginęli Grecy zginęli Rzymianie, odezwał się jeden z moich współuczniów, dobry chłopak ale tępy, z którego sobie żartowali koledzy.

— A ty z kąd wiesz o tém? zagadnął go ktoś z boku.

— Ze sztuki rymotwórczéj Dmóchowskiego, odparł niezmieszany.

— Tak że i mów, powiedzieli drudzy ze śmiechem.

Ale Knapski nie znał tego dzieła, więc mógł nie wiedziéć że *zginęli.*

10. Przed zazdrością w niebie nie być.

Myśl téj przypowieści rusin fantazyą swego dowcipu sardonicznie wyraził: *Czerez worohy tiażko do pekła distatysia* (Hr. Ilkiewicz. Halickija prypowidki. Wiedeń, 1841),

11. Puścił się na szrot.

Przypowieść zapisana w zbiorze Komeniusza między przysłowiami od młynarstwa (B. 5): *Pustil jen na srot* (*o praci na 'odbyt, leda bylo*); więc i w przypowieści polskiéj szrot będzie szrotowanem mliwem, a nie szrotowanym ołowiem, który za czasów Rysińskiego zwano powszechnie glotem.

12. Sam sobie gędę, sam wesół będę.

Dewiza Samuela Maszkiewicza, znaleziona w tłómaczeniu rossyjskiém, z którego wydawca pamiętników Jan Zakrzewski odtworzył ją nieforemnie:

> Sam śpiewam sobie,
> Sam pocieszam siebie.

Jest to przypowieść oryginalnie czeska, znajduje się w najstarszym zbiorze przysłów czeskich ze schyłku XIV wieku pana Smila Flaszki z Pardubic, zabitego 1403 r.:

> Sam sobi hude
> Sam sobi wesel bude

13. Słomiany starosta dębowego ziemianina zwalczy.

Mają podobną francuzi pamiątkę starych praw i przywilejów feudalnych: *Un seigneur de paille combat un vassal d'acier.* (E. Parquier, Recherchessur la France. Ks. VIII, roz. 25).

14. Tak to bolesno komu żona umrze, jako kiedy kto zabije się w łokieć.

Przypowieść oryginalnie hiszpańska:

> Dolor de codo y dolor de esposo
> Duela mucho y dura poco.
> (P. Ch. Cahier, 3396).

15. Znać że drogą pszenicę przedał, bo czapkę brożcem na łeb wdział.

Brożcem albo na bakier. Do tego drugiego wyrażenia łączy się zgrabny żart, jakby umyślnie wystosowany do tych wszystkich, którzy

[2]) Sam szukałem.

[3]) Dokąd się śpieszysz, Winandzie? dokąd?

(*) Lecz polskie powiedzenie godne jest ażeby je przywłaszczyli Grecy i Rzymianie.

w objaśnieniu starych przypowieści kołowali w błędnych domysłach, lub gromadzili nietrafne wnioski:

„Pod angielskiemi królami z domu Plantagenetów (mówi bezimienny), familia Bakier miała lennictwa za to, że jéj przodek obowiązany był, w czasie przeprawy przez kanał z Dower do Calais, przetrzymywać głowę królowi. Do rozwiązania filologów należy, czy nie ztąd poszedł w języku polskim sposób mówienia: *nosi głowę na bakier*.“ (Wiadomości brukowe. Wilno, 1818, Nr. 98, k. 168, w nocie.“)

Przytoczone wyjątki dostatecznie przekonywają, jak ciężką wyrządza nam krzywdę p. Darowski, składając znakomitą swą pracę *ad acta* w zakładzie Ossolińskich.

Drugiem dziełem wypracowanem przez p. Darowskiego jest: *Drugi Rozdział do przyszłéj księgi przysłów polskich, obejmujący nazwiska miast i wsi wszystkiéj Korony i Wielkiego Księztwa Litewskiego, z przydatkiem niektórych miejscowości i krajów postronnych, w przypowieściach, znaczeniu przenośném, ucinkach i t. p. zebrany przez Tymoteusza Lipińskiego a teraz nanowo przejrzany, uporządkowany i poprawiony*, z epigrafem *Dies diem docet.* (*).

Przytaczając poniżéj pięć przykładów z pomienionego dzieła, poprzedzamy je słowami autora napisanemi do jednego z warszawskich jego znajomych,

„Zapewne dziwować się muszą jak śmiałości tak i zarozumieniu, ażeby jakiś nieznajomy partacz brał się przerabiać i poprawować robotę takiego cechowego majstra, jakim był Lipiński. W saméj rzeczy nikt nie może łatwiéj zebrać ani lepiéj objaśnić przypowieści od miast i wsi jak autor Starożytnéj Polski, a tym czasem stało się przeciwnie, i zbiorek jego nie porządny układem, niekrytyczny obrabianiem, a przepełniony takiém niepotrzebieństwem, że odrazu większą połowę zmazać musiałem. Uczeni Warszawscy ludzie wytrawni i doświadczeni, ani mnie ani tobie na gołe słowa nie powierzą — a przeto wypisuję z raptularza kilka przysłowiów na okaz, z których ani jednego niezrozumiał Lipiński, a podobnych znajdzie się dużo więcéj; ale dość tych kilku na dowód, że zbiór potrzebuje pilnéj rewizyi i reperacyi.“

1. Dudy.

— *Weseléj byłoby kiedyby były Dudy.* (M. Trztyptycki).

— *Pałac, Baldachim Starostwo i Dudzkie* (X. A. S. Radziwił).

„Po z nieba daném zwycięztwie nad Turkami, wracając się jeden monarcha, w Jarosławiu od Księżnéj tamecznéj ochotnie przyjęty i hojnie podjęty. Był tam wojewoda pewien, mąż i dworzanin wielki, a wakowały na tenczas Dudy, dzierżawa w Litwie. Monarcha wesołą twarzą chcąc dobréj myśli dodawać, rzecze do senatorów aby ochotniéj i weseléj było, co słysząc Wojewoda odpowie: „*Byłoby weseléj i ochoczéj, najjaśniejszy Królu, kiedyby były Dudy.*“ Zaczém monarcha zrozumiawszy co to za muzyka była, acz za zasługami, wszak też i za oném piękném i pogodném dworstwem, zaraz mu Dudy przyobiecał.“ (Co nowego albo dwór mający w sobie osoby i mózgi rozmaite bez m. r. Sign G. S.).

Lipiński w objaśnieniu przywodząc powyższy ustęp, dodaje i „Dudy, gojdy, multanki, piszczałki i Dudy starostwo w Wtwie Wileńskiem, które sobie pewien to dwuznacznością u Jana III (sic) wyjednał.“ (Nr. 240).

W. A. Maciejowski broszurę *Co nowego albo dwór i t. d.* przypisuje Janowi Żabczycowi, który miał ją przerobić z innéj p. t. *Furfanteryi polskich traktaty* i wydać 1650 r. Ale i znajomości tych szczegółów łatwo domysłem potrafić, że wspomniona Księżna Jarosławska jest Anna z Kostków Ostrogska zm. 1635, monarcha Zygmunt III, a z nieba dane zwycięztwo odnosi się do wyprawy Chocimskiéj 1621 r., i anachronizm Lipińskiego na nieuwagę albo pomyłkę drukarską zrzucić potrzeba. Ale i z tém sprostowaniem powiastka broszury nie wytrzyma krytyk, Jarosław był w żałobie po śmierci Chodkiewicza zięcia X. Ostrogskiéj, a nadto wiemy zkądinąd, że Zygmunt III w powrocie ze Lwowa do Warszawy po wyprawie Chocimskiéj, wyminął Jarosław obróciwszy drogę na Żółkiew (B. Pimorowicz w tłum. M. Piwockiego. Historya Miasta Lwowa. Lwów, 1838 r. k. 308).

Książe A. St. Radziwił zachował nam inne przysłowie ze wzmianką o Dudach, które streściło powody rokoszu 1606 r. „Pałac (Zebrzydowski) Baldachim (Maciejowski) i Starostwo Dudzkie (Radziwił).

2. Otręb.

— *Gęba z otręba a pysk z Mościsk.*

Lipiński dobrze zrozumiał przysłowie pisząc w objaśnieniach: „Jeden jako i drugi, oba lepsi, oba wyszczekani“ (Nr. 66), ale niepotrzebnie szukał urojonych miejscowości, a nie znalazłszy *Otrąba*, położył *Obręb*, wieś o mil pięć od Warszawy, z którą graniczy inna zwana *Mościska*. Byłby lepiéj uczynił, gdyby nie psując pierwszego rzeczownika, naprawił drugi, miasto *Mościsk* kładnąc *Osciska*. Przysłowie wyszłoby foremnie: *Gęba z otręba* (grubego grysu) *a pysk z ościsk* (ościstéj plewy), czyli: *gęba gruba w mowie, a pysk ostry w odpowiedzi.*

3. Piątek.

— *Daleko jak z Piątku do Soboty.*

Lipiński, znalazłszy dwie miejscowości *Piątek* w W-twie Łęczyckiém a *Sobotę* w W-twie Kaliskiém, znaczenie przysłowia tłumaczy wymiarem ich odległości i w objaśnieniu zapisał „dwie mile“ (Nr. 209). Jest to przysłowie szkolarskie, które powstało z obyczaju karania uczniów w sobotę za swawolę całego tygodnia (Kitowicz. Opis Zwyczajów. Poznań 1840. T. 1. K. 55), i w przenośni znaczy: nie daléj jak do 24 godzin, albo: daleko jak od dziś do jutra. Powiadano jeszcze o uczniu markotnego chumoru: *skrzywił się jak z piątku na sobotę* — który sposób mówienia, będąc z powyższym wypływem z jednego źródła, wspiera mój przykład.

4. Praga.

— *Osoliłeś by Pragę (S. Rysiński).*

„Jednym wyrazem — pisze Lipiński — przesoliłeś n. p. potrawę, towar, kupno, mówi się: słonoś kupił, zapłacił. Co się zaś Pragi naszéj dotyczy, znajdował się tam wielki magazyn soli, o którym tak mówi Adam Jarzemski opisując 1648 r. Warszawę: „Uderza najbardziej na Pradze ogromny skład solny obok mieszkania dla żupnika.“ Nie wiedząc Linde tego szczegółu nie zrozumiał tém samém znaczenia powyższego przysłowia, gdyż postawił obok niego znak zapytania (Nr. 165).“ Lipiński powtórzył wykład K. W. Wójcickiego, który przysłowie a przeto i skład soli odniósł do XVI wieku (stare gawędy i obrazy. Warsz. 1840 T. IV. K. 191). Obu przez nieporozumienie się z datami wprowadził w błąd opis Warszawy Ad. Jarzemskiego i w nim wzmianka o magazynie soli, czyli tak zwanéj żupie na Pradze.

Przysłowie zapisał S. Rysiński, a wszystkie trzy wydania jego przypowieści w latach 1618, 1619 i 1629 poprzedziły przywiléj lokacyjny Pragi wydany d. 25 czerwca r. 1634 (*a*). Nie byłoby to jeszcze bezsprzecznym dowodem, i Praga mogła mieć dawniéj żupę, aniżeli prawo miejskie, ale jest rzeczą pewną że skład soli suchedniowej w r. 1631 stał na sąsiednim Skaryszewie, skąd dopiero późniéj przeniesiony został na Pragę, a przeto nie mógł być powodem do przysłowia (*b*), i Linde, kładnąc przy niém znak zapytania, postąpił rozważniéj od K. W. Wójcickiego i Lipińskiego.

Przysłowiowa *Praga* zdaje się być jakąś starą potrawą, którą słoną pryrządzano w dawnéj kuchni. Następnie wyszła z użycia, a może zmieniła nazwanie na *prażuchę* albo *prażuchy*. (*c*).

5. Swarzędz.

— *Przyjechała nędza do Swarzędza* S. (Rysiński).

„Swarzędz — pisze Lipiński — miasteczko o milę od Poznania. Może przysłowie chciało wyrazić pomyślny niegdyś stan mieszkańców, zanim ich nawiedziła nędza (Nr. 190).“

Rozumiém że Swarzędź nie odnosi się do miejscowości tego nazwiska, ale znaczy kłótnika, a myśl moralna przysłowia zawarta w téj prawdzie, że niezgoda prowadzi do upadku. Błędny jest domysł Lipińskiego, a niezrozumiałe Rysińskiego „*Simile ducitur ad simile*,“ które dopisał przy przysłowiu jako objaśnienie... Chyba wkradła się omyłka druku, którą naprawić trzeba: *Przyjechała jędza do Swarzędza.*

Z wielką niecierpliwością oczekujemy ukazania się w druku pracy szanownego badacza.

L. Sowiński.

(*) Pierwszy rozdział pomienionego dzieła wyszedł przed kilką laty w Kijowie. Dodatek do niego, autor ogłosił w *Kwiatach* i *Kłosach* wydanych tamże.

(*a*) Starożytna polska, Warsz. 1843—1846. T. 1. K. 477.

(*b*) Volumen Legum III. fol. 688.

(*c*) *Prażucha*, zacierka z przennéj prażonéj mąki. *Prażuchy*—kluski prażone (Łukasz Gołębiowski. Domy i dwory. 1830. K. 31 i 42).

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Января (5 Февраля) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.